NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy 20 kop — 40 fen.

Rok XIV. Kraków, 20 stycznia 1917. Nr. 3.

Po koronacyi w Budapeszcie.



Para królewska w węgierskim stroju koronacyjnym wraz z następcą tronu.

Po koronacyi w Budapeszcie.

(Do illustracyi tytułowej).

Uroczystości koronacyjne, które już się ukończyły na Węgrzech, wywarły na uczestnikach ich i widzach nadzwyczaj głębokie wrażenie, a zarazem stwierdziły dowodnie, że naród węgierski szczerze przywiązany jest do swej dynastyi. Pomimo wojennych czasów odbyła się ceremonia koronacyi króla Karola IV. i królowej Zyty z całym średniowiecznym przepychem. Tysiące ludzi pospieszyło z różnych stron kraju, by być świadkami tego historycznego zdarzenia, byłoby ich daleko więcej, gdyby nie wojenna zawierucha, która, zwłaszcza zagranicę powstrzy-



Echa świąt w polu: Drzewko w okopach 46 dywizyi obrony krajowej.



Trzecia kampania zimowa: Austryacki posterunek na szczycie góry w Tyrolu.

mała od wzięcia udziału w tej dla Madziarów prawdziwie narodowej uroczystości.

Król Karol, królowa Zyta i młody następca tronu przez cały czas pobytu w Budapeszcie spotykali się na każdym kroku z tyloma dowodami sympatyi i przyjmowani byli wszędzie z takim entuzyazmem, na jaki zdobyć się może tylko gorąca krew węgierska, płynąca dotąd w żyłach tego dzielnego narodu. Na czas uroczystości koronacyjnych zamilkły waśnie polityczne, obywatele kraju czuli się tylko Węgrami i pamiętali o tem, że to ich król koronuje się koroną świętego Szczepana. Wszystko też poszło nader składnie, bez najmniejszego dyssonansu, każdy, o ile sił jego starczyło, starał się przyczynić do uświetnienia obchodu.

W niniejszym numerze podajemy illustracyę, przedstawiającą parę królewską w stroju koronacyjnym na tronie wraz z następcą, przybranym w kostyum narodowy węgierski.

Trzecia kampania zimowa.

Gdy przed trzema laty wybuchła w sierpniu obecna wojna światowa, twierdzono na ogół, że musi się skończyć przed zimą. Niestety, przewidywania się nie spełniły. Zaczęto się przygotowywać poważnie do drugiej zimowej kampanii, utrzymując, że będzie ona ostatnią, lecz znów spotkał nas zawód. Trzecia z kolei zima rozpoczęła i kończy już swe panowanie, a my nie wiemy, pokój blizko, czy daleko.

Kampania zimowa jest dla walczących daleko uciążliwszą i przykrzejszą, niż w innych porach roku, dzielne nasze wojska potrafiły przecież pokonać trudności i właśnie w zimie odnoszą największe sukcesy. Walka w porze zimowej, na równinie, gdzie się odczuwa tylko ostrość klimatu, to zabawka w porównaniu z terenem górskim, gdzie napotyka się na każdym kroku na przeszkody, jakby się zdawało, nie do przezwyciężenia. Ale i tutaj dają sobie jakoś radę mocarstwa centralne, zmuszone walczyć w Wogezach, Alpach, Karpatach i na Bałkanie. Ogromne usługi oddają teraz wojskowe oddziały narciarzy, znakomicie jeszcze w czasie pokoju wyćwiczone



Zdobycz w Rumunii: Targ rybny w Gałaczu.

i znajdujące na wszystkich bez wyjątku frontach odpowiednie pole do popisu. Wywiązują się one ze swego zadania ku ogólnemu zadowoleniu.

Illustracye, zamieszczone w niniejszym numerze, przedstawiają austryackie i niemieckie oddziały wśród górzystego terenu.



Trzecia kampania zimowa: Oddział austryackich narciarzy w Alpach udaje się na pozycyę.

Zdobycz w Rumunii.

Z niesłabnącą energią wojska sprzymierzone posuwają się naprzód, odnosząc jedno zwycięstwo za drugiem. Nie pomogła Rumunom pomoc wojsk rosyjskich, które tak samo nie są w stanie wytrzymać naporu nacierających armii, które zagrażają już Bessarabii i wogóle lewemu skrzydłu frontu rosyjskiego. Obecnie walka przybliżyła się do dolnego Dunaju i ogarnęła dwa główne miasta portowe tej wielkiej rzeki: Gałacz i Braiłę. Gałacz po rumuńsku Galati, jest stolicą rumuńskiego powiatu Covuluj — Leży tak, jak Braiła, na lewym brzegu Dunaju, między ujściem Seretu i Prutu, granicząc z północy z jeziorem Bratus. Gałacz jest końcowym punktem fortyfikacyi, rozciągających się od Foksani aż po Dunaj, skierowanych głównie przeciw Rosyi; jako punkt węzłowy kolei ma ogromne znaczenie. Tutaj zbiegają się linie Gałacz Braiła Buzeu, Gałacz-Iveski, Gałacz Reni Bender. Z biegiem czasu Gałacz wyrósł na wielkie miasto handlowe. Jeszcze w roku 1843 liczył zaledwie 7—8.000 mieszkańców. W 1843 r. przybył w ciągu całego roku do portu w Gałaczu jeden jedyny okręt angielski; po dwóch latach było ich już dwanaście. Wskutek wyszlamowania średniego ramienia Dunaju można już od roku 1861 odbywać drogę przez ramię Suliny przy pomocy morskich parowców. Wskutek tego powoli miasto zaczęło przyjmować charakter miasta nadmorskiego. W r. 1889 doszło do liczby blizko 60.000 mieszkańców, a dziś liczy 100 000. Obok Rumunów znajdujemy tu pstrą mieszaninę Greków, Żydów, Bułgarów, Węgrów, Armeńczyków i przedstawicieli narodowości zachodnio-europejskich. Szybki wzrost miasta nastąpił po pokoju paryskim w roku 1866, kiedy ogłoszono wolność żeglugi na Dunaju. Dla krajów, leżących nad dolnym Dunajem, stał się Gałacz głównym portem dla handlu zamorskiego i jest obok Wiednia i Budapesztu największem miastem handlowem naddunajskiem.



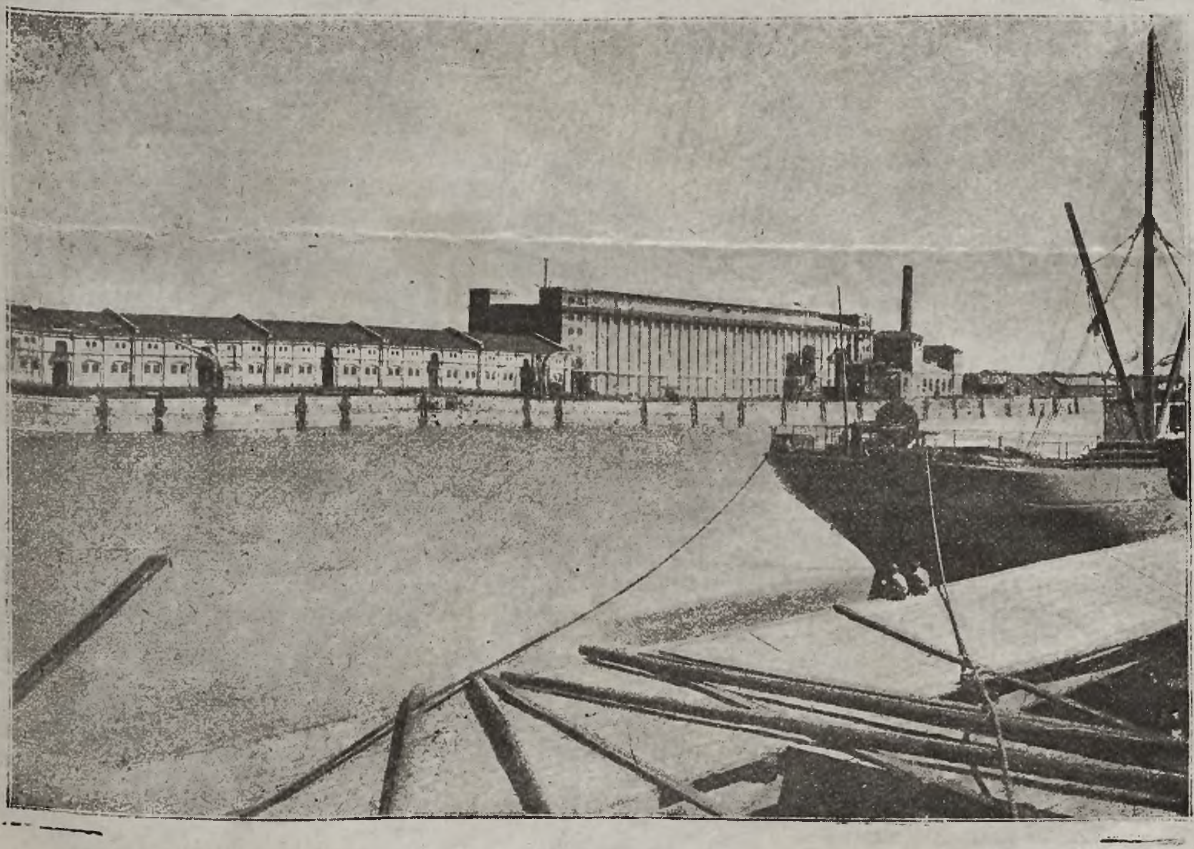
Echa świąt w polu: Drzewko na oddziale lekko chorych 46. dywizyi obrony krajowej.



Szlakiem Legionów: Proklamacya niepodległej Polski wśród Legionistów w Baranowiczach.

Braiła, stolica powiatu tejże nazwy na Wołoszczyźnie, leży na lewym brzegu Dunaju, piętnaście kilometrów powyżej ujścia Seretu i jest stacyą rumuńskiej linii kolejowej Barbos Braiła Buzeu. Jedno z ramion rozwidlonego, a łączącego się tu znowu Dunaju, tworzy wielki port. Braiła jest najważniejszem miejscem eksportu zboża dla Wołoszczyzny i przewyższa pod tym względem znacznie Gałacz. Ośmdziesiąt pięć procent całego eksportu Rumunii przypada na port Braiły. Tutaj znajduje się olbrzymi basen z elewatorami, zbudowanymi na wzór amerykański. Miasto liczy 70.000 mieszkańców, a ludność jego ma charakter równie mieszany, jak Konstancy. Składa się ona przeważnie z Greków, Rumunów i Bułgarów.

Około tych miast portowych, z których Braiła dostała się już w ręce sprzymierzonych, a Gałacz znajduje się w piekielnym ogniu artyleryskim, koncentruje się w obecnem stadyum walka, która już niebawem przypieczętuje ostatecznie los Rumunii.



Zdobycz w Rumunii: Elewatory i spichlerze rządowe na wybrzeżu Dunaju w Gałaczu.

Dotychczasowy przebieg kampanii, oprócz sukcesów terytoryalnych, przyniósł armiom sprzymierzonym znaczną zdobycz w surowych materyałach i żywności. Przedewszystkiem Rumunia będzie mogła dostarczyć obu państwom sprzymierzonym znacznych zapasów nafty. Stan bowiem rumuńskich urządzeń kopalnianych jest tego rodzaju, że jeszcze w ciągu wiosny podjęte będzie wydobywanie ropy i uruchomienie rafineryi na wielką skalę, na razie można będzie spożytkować zapasy, ocalone w Konstancy. — Co się tyczy przemysłu rolniczego (cukrownie, gorzelnie i t. p.), zakłady te są niezniszczone aż po Buzeu; trzeba będzie tylko naprawić elektryczne urządzenia.

Dotychczas nie obliczono jeszcze ilości zdobytego **zboża, zwłaszcza kukurudzy**; wiadomo tylko, że zna-



Przemieniona wojna: Tak zwana „ziemia niczyja“ na froncie flandryjskim między rowami strzeleckimi Niemców i koalicyi.

czna część nie może być użyta dla żywienia ludzi z powodu rozmyślnego ich zepsucia. Dokonali tego francuscy i rosyjscy aienci, wysłani z Bukaresztu.

Po zamknięciu obliczeń rezultat będzie ogłoszony. Wielkie zapasy zboża w Braile i Gałaczu zostały zupełnie zniszczone. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że po odtrąceniu ilości, potrzebnych dla wyżywienia miejscowej ludności, Niemcy i Austro-Węgry otrzymają zasiłek dla swoich zapasów żywności, a jednocześnie wszystko będzie zrobione, aby plon żniw rumuńskich spożytkować dla obu państw.

Niebawem otwarty będzie ruch frachtowy na Dunaju, utrudniony obecnie nie tyle przez lód, co przez mgły i wysoki stan wody. Wtedy będzie można zdobyte zapasy przewieźć w górę rzeki.

Echa świąt w polu.

Swięta Bożego Narodzenia, a zwłaszcza wieczór wigilijny, połączony z tradycyjnem drzewkiem, to uroczystość, którą się obchodzi zazwyczaj w najściślejszem kółku rodzinnem. Po raz już z kolei trzeci spędzamy je przecież nie tak wesoło, jak to bywało po inne lata, a przyczyną tego wojna, szalejąca ciągle w bezpośredniem naszem sąsiedztwie.

O świętach Bożego Narodzenia nie zapomniano też i na froncie. Dzięki staraniom komendy i poparciu ludzi dobrej woli, pamiętających o naszych bohaterach, zmagających się z odwiecznym wrogiem, choć skromnie, ale również serdecznie obchodzono je i w polu, zdala od najbliższych, gdzie rodzinę tworzą oficerowie i żołnierze, mający dziś jeden jedyny wspólny cel, uwolnienie kraju od najazdu wroga i chlubne zakończenie tych walk tytanicznych.

Łamano się więc opłatkiem i wymieniano wzajemnie życzenia, śpiewano kolendy przy pięknie ozdobionem drzewku tak w obozach naszych wojsk, szpitalach polowych, jak i w rowach strzeleckich, wśród huku dział i świstu pocisków, a myśli wszystkich przenosiły się w tym uroczym czasie ku tym, którzy w głębi kraju, daleko poza linią bojową, wspominali o swych ojcach, braciach i synach, nie widząc ich przy wigilijnym stole... I tu i tam zabłysła w niejednem oku serdeczna łza, niejedno gorące odezwało się westchnienie.

Illustracye, odnoszące się do niniejszego artykułu, pochodzą z wschodniego frontu, gdzie walczy nasza dzielna obrona krajowa.



Obrazki wojenne: Prawosławna cerkiew, jako stacya opatrunkowa za linią bojową na wschodnim froncie.





Trzecia kampania zimowa:

Oddział austryackich karabinów maszynowych na pozycyi w Karpatach lesistych.

Niemiecka patrol narciarzy w Wogezach.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

16

Nabożeństwo nie zaczęło się jeszcze, ale kościół był już przepełniony.

Ławki pozajmowali co przedniejsi i bogatsi go spodarze i gospodynie i wogóle arystokracya wiejska, a więc młynarz, wójt, pisarz gminny, karczmarz, sklepikarz...

Od ołtarza aż ku wyjściu klęczały zwartym tłumem kobiety i dziewczęta, jaśniejąc różnobarwną tęczą krasnych chustek i nieskazitelną czystością świeżo upranych i sztywno wykrochmalonych kaftaników.

Poza niemi, tuż pod chórem, zbili się w gromadę mężczyźni, również czysto umyci, porządnie przyczesani i ogoleni i odświętnie wystrojeni.

Wojna przerzedziła jednak tę gromadę, która zajmowała zwykle miejsce pod chórem. Wielu z pośród niej porwała i uniosła daleko tam, gdzie świszczą kule na polu bitwy.

I w ławkach przeważały kobiety, a obok nich widać było prawie wyłącznie starszych mężczyzn — siwe lub siwiejące głowy i twarze zorane zmarszczkami. Gdzieniegdzie tylko błysnął siwy mundur „urlopnika“, ciągnąc ku sobie oczy ludzkie.

Pod ścianami koło konfesyonałów, tłoczyli się niedorośli chłopcy.

Stamtąd to szły szepty i głośne szurania nogami — w tamtą to stronę zwracały się surowe spojrzenia i ostre napomnienia starszych.

Szczególnie jeden chłopiec o pucołowatej twarzy i szarych, śmiałych oczach zachowywał się bardzo niesfornie. Ustawicznie coś szeptał, popychał towarzyszów, uśmiechał się i rozglądał wokół.

Już nawet inni chłopcy szeptali:

— Jasiek! Co ty wyrabiasz?... „Krzesny“ ojciec Kobylski się patrzą!... Uspokój się, a dy to kościół!

Ale Jasiek lekceważył te napomnienia i broił dalej.

Zniecierpliwiło to ostatecznie Walentego Kobylskiego. Stary gospodarz aż poczerwieniał z oburzenia, powstał i pochwycił psotnika silnie za ucho, mówiąc przyciszonym głosem:

— Poczekaj „śpiku“, nauczę ja cię kościół Boży szanować, kiedy cię matka tego jeszcze nie nauczyła!

Kobylski poprowadził czerwonego ze wstydu, jak burak, chłopaka do zakrystyi.

To doraźne skarcenie Jaśka nie pozostało bez wpływu na innych jego towarzyszów. Chłopcy uspokoili się, przyciszyli, spoważnieli.

Dziewcząt nie trzeba było karcić, ni strofować. Klęczały one poważnie i spokojnie. Jedne przesuwały ziarnka koronek, inne, starsze trochę, otwierały z nabożnem skupieniem książeczki. Niektóre zerkały wprawdzie ciekawie tu i ówdzie — czyniły to jednak bardzo nieznacznie i dyskretnie.

Większość kobiet, zarówno starszych, jak młodszych, dzierżyła w rękach wielkie snopy ziół polnych.

Powietrze kościoła przesycone było mocnymi, zmieszanymi zapachami mięty, rumianku, bożego drzewka, piołunu...

Jak co roku, święcono w kościele w dzień Matki Boski Zielnej wonne zioła, aby je ponieść do domów, jako ochronę od chorób wszelkich.

Pogańskie święto lata, zjednoczone z najwyższą czcią chrześcijańską dla Tej, która Królową jest i Opiekunką wszystkich ziół i kwiatów, co rosną, kwitną, wonieją po polach, na łąkach, w lasach, nad strumieniami...

Odśpiewano już różaniec. — Teraz stary chłop, w wielkich okularach na nosie, zaintonował basowym, trochę ochrypłym głosem pieśń, którą chór natychmiast podchwycił:

„Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi,
Niech Cię płacz sierót do litości wzbudzi“...

Nie był to śpiew zgodny i czysty, głosy w tym chórze nie były harmonijne.

Często cienki głosik dziecięcy zapóźno podchwytywał nutę — to znów jakiś ochrypły bas usiłował wyprzedzić innych, albo też piskliwy głos kobiecy psuł harmonię.

Lecz wszystkie te głosy: piskliwe i basowe, dźwięczne i chrapliwe, zlewały się w jeden ton szczerej, żarliwej modlitwy, która rwała się z serc prostych i naiwnych, błagając „Serdeczną Matkę“ o opiekę i zmiłowanie.

Kościół był już tak szczelnie zapchany, że ci, którzy później nieco przyszli, musieli pozostać w przedsionku.

Zapełniła się także ławka nauczycielska. — Na brzegu jej siadł Michnik, który rzucał niecierpliwe spojrzenia na pustą jeszcze kollatorską ławkę dworską.

Nareszcie twarz nauczyciela rozjaśniła się radością. Do kościoła weszła przez zakrystyę Walczakowa, a z nią Ludwik Rażycki i Józia Maliniewiczówna, jasna, świeża, urocza, w białej, batystowej sukni.

W chwilę później ukazał się ksiądz. Stary proboszcz wstąpił na ambonę i zaczął kazanie.

Rażycki usiadł obok Józi, rzucił spojrzenie na kościół i... zdumiał się.

Pomiędzy Michnikiem i żoną kierownika szkoły, małą, szczupłą kobieciną, w staroświeckiej mantyli i niemodnym kapeluszu z wielkimi kwiatami, siedziała Hela Lidzińska.

Młoda panna ubrana była bardzo poważnie, zupełnie czarno, co podnosiło jeszcze jej urodę.

Ludwik poczuł, że nagle zrobiło mu się jakoś przyjemnie i wesoło. Ucieszył się, jak gdyby odnalazł zgubę, której długo szukał.

— Więc ona tutaj jest nauczycielką! Co za dziwny przypadek! Nie! To już chyba jakieś przeznaczenie!... Doprawdy, można stać się fatalistą i to nawet chętnie, jeżeli fatum ma takie oczy... — pomyślał.

Uporczywie wpatrzył się w Helę, chciał siłą swego wzroku zmusić ją, aby spojrzała na niego... Nie udało mu się to jednak. Panna Lidzińska siedziała spokojnie, patrzyła tylko na księdza i zdawała się bardzo uważnie słuchać kazania.

Proboszcz, który jednostajnym, bezbarwnym głosem, jakby ospale, rozpoczął zastosowane do święta kazanie, w miarę słów własnych ożywiał się i rozgrzewał. W głosie staruszka zaczynały drgać gorętsze nuty, w mowę jego wplatały się wyrażenia silniejsze i obrazy bardziej plastyczne. Kiedy zaś od dogmatycznej części kazania przeszedł do praktycznych nauk i napomnień, zapalił się i głos jego nabrał tak potężnych tonów, że wstrząsnął zgromadzonym w kościele tłumem.

Ksiądz mówił o tem, że w parafii jego znalazły się kobiety, które zapomniały o obowiązkach matki i żony, które obrażają Boga i przynoszą wstyd wsi swojej i rodzinie.

Proboszcz gromił i karcił donośnym głosem — niekiedy przerywał, aby zaczerpnąć oddechu. Oczy mu błyszczały, na policzki wystąpiły krwiste wypieki.

— Mężowie i bracia — wołał — na polach bitew krew swoją przelewają, znoszą trudy i niewygody, często głód i chłód, a wy pijecie i stroicie się?! Wy, krwią okupiony grosz na stroje marnujecie i do karczem nosicie?! To tak ich żałujecie, tak Boga prosicie?! Może teraz, kiedy ja te słowa mówię, albo wczoraj, przedwczoraj, każdej godziny, każdej chwili ginie ktoś z waszych, a wy o pijatykach i hulankach myślicie!... O co walczą żołnierze nasi? O kraj nasz, o ziemię! A tu są takie kobiety, które chcą przehandlować ojcowiznę swoją obcym spekulantom i w konszachty się z nimi wdają!... Ojcowie tęsknią do dziatek swoich, ojczyzna nasza biedna tylu synów straciła, a wy dzieci zaniedbujecie?!

Słyszycie, wy? Wiecie do kogo mówię! Czy nie zadrży wam serce?! Mówię wam, poprawcie się, bo inaczej zaciężу na was ręka Boska!...

Wszyscy dobrze wiedzieli, że proboszcz ma na myśl Frankę Sojkową, Wiktę Kobielinę i kilka innych jeszcze kobiet, które za przykładem Franki po jarmarkach i karczmach z kawalerami włóczyć się poczęły, dom i gospodarstwo zaniedbywać i coraz to wymyślniejsze stroje skupować.

Franka Sojkowa i Wikta Kobielina obecne były w kościele i na nie też zwróciły się wszystkie oczy.

Kobielina zawstydzona i przejęta, głowę pochyliła, twarz ukryła w dłoniach i głośno łkała. Sojkowa natomiast ani drgnęła.

Jakby wyzywając całą opinię wiejską, wystroiła się dzisiaj po raz pierwszy w kapelusz, który jej przywiozła Ryfka Weinkraut z Krakowa. Kapelusz ten, fantastycznie wygięty z wielkiem, postrzępionem na zielono zafarbowanem piórem, kosztował trzydzieści koron i w przekonaniu Franki przerabiał ją zupełnie na „panią“, która nie potrzebuje się już liczyć z opinią „chamów“.

To też Sojkowa trzymała głowę wysoko i spoglądała hardo i zuchwale. Podczas kazania przybladła trochę, ale z gniewu. — Usta jej zacięły się i w oczach zapłonęły złe ognie.

Kazanie skończyło się. Ksiądz sięgnął po leżącą przed nim księgę i przeczytał:

„Do stanu małżeńskiego zabierają się następujące osoby: Maciej Zawada, wdowiec, w Zalesinkach urodzony i zamieszkały z Maryanną Pazdurówną, panną, w Zalesinkach urodzoną i zamieszkałą. Zapowiedź trzecia“.

Teraz niejedna dziewczyna westchnęła smutnie. Poprzednich lat w tym czasie szły zapowiedzi za zapowiedziami, jak to zwykle bywa pod koniec żniw, kiedy ludziska spieszą się, aby się połączyć przed zimą.

A dzisiaj? Zapowiedzi starego, łysego wdowca z młodą dziewuchą i koniec!

Hanusia Jarząbkówna, najładniejsza ze wsi dziewczyna, przycisnęła rękami powieki, z pod których wytryskały łzy.

Gdyby nie wojna, to i ona „spadałaby“ teraz z ambony i ślub byłby po żniwach, a tak? Staszek w niewoli daleko, gdzieś w zimnych krajach i od kilku miesięcy niema od niego żadnej wiadomości. Bóg tylko jeden wie, czy żyje jeszcze, Bóg tylko jeden wie, czy wróci.

Ksiądz, po ogłoszeniu zapowiedzi, jął czytać zakupione msze, które w najbliższych dniach odprawione być miały:

— Na intencyę Andrzeja Gnatka na wojnie, na intencyę Wojciecha Jarząbka na wojnie, za duszę Walentego Kozika, poległego na wojnie...

I tak dalej szedł spis. Ksiądz monotonnie czytał nazwiska, przy każdem powtarzając słowa: „na wojnie“.

Tu i ówdzie rozległ się głośny szloch kobiecy, jeden i drugi stary ojciec przesunął ręką po oczach.

Proboszcz zszedł z ambony i udał się do zakrystyi.

Teraz dopiero Hela Lidzińska odwróciła głowę i oczy jej spotkały się z oczami Rażyckiego.

Różowy obłok rumieńca przesunął się po twarzy dziewczyny i znikł zaraz.

Hela utkwiła wzrok w kartach swojej książki i przez cały czas trwania nabożeństwa nie spojrzała ani razu w kierunku ławki dworskiej.

— Muszę ją poznać jeszcze dzisiaj — powziął Ludwik mocne postanowienie.

Michnik czekał przed kościołem na panie ze dworu. Ludwik uścisnął mu rękę z niezwykłą serdecznością i zaczął odrazu bez wstępu:

— Przybyła panu koleżanka, choć to jeszcze wakacye. I to piękna koleżanka...

— Tak! I ja zauważyłam ją — wtrąciła Walczakowa — To jakaś nowa, pewnie na miejsce Zawiskiej, która wyszła za mąż... Rzeczywiście, twarz prześliczna, a przedewszystkiem niezwykle interesująca.

— To panna Lidzińska z Krakowa — odparł Michnik — była na uniwersytecie, ale rzuciła studya dla pracy nauczycielskiej. Istotnie jest piękna, ale, co ważniejsze, bardzo dobra, sympatyczna i inteligentna, o ile ją poznać zdołałem.

— Nie wiem, co wy w niej widzicie tak pięknego... — zauważyła z pewną niechęcią Józia, niezadowolona z pochwał Michnika dla nowej koleżanki — Wcale nie piękna. Zanadto blada, poważna, sztywna i oczy ma jak węgle...

Ta niepochlebna uwaga Józi przeszła bez wrażenia, bo Ludwik, nie słuchając jej wcale, zwrócił się do kuzynki:

— Powinnabyś się poznać z panną Lidzińską, Anielko...

— Jak najchętniej, tem więcej, że poczułam do niej odrazu sympatyę...

— To podejdź do niej zaraz bez ceremonii, przedstaw się i rzecz skończona.

— Masz racyę, tak też zrobię.

Józia skrzywiła się lekko, ale protestować nie mogła.

Hela wychodziła właśnie z bramy kościelnej. Walczakowa z miłym uśmiechem podeszła do niej i przedstawiła się pierwsza.

Młoda nauczycielka, na której Anielka wywarła bardzo dobre wrażenie, odpowiedziała uprzejmie i znajomość była zawarta.

— Moja przyjaciółka, panna Józia Maliniewicz, mój kuzyn, Ludwik Rażycki — przedstawiała dalej Walczakowa.

Panny podały sobie chłodno ręce, na pierwszy rzut oka poczuły do siebie coś, jakby malutką antypatyę.

Józia obawiała się rywalki, a Heli nie podobały się kokieteryjne dyabliki w oczach Józi.

Kiedy zaś Hela witała się z Rażyckim, usta jej drgnęły, jakby od powstrzymanego śmiechu.

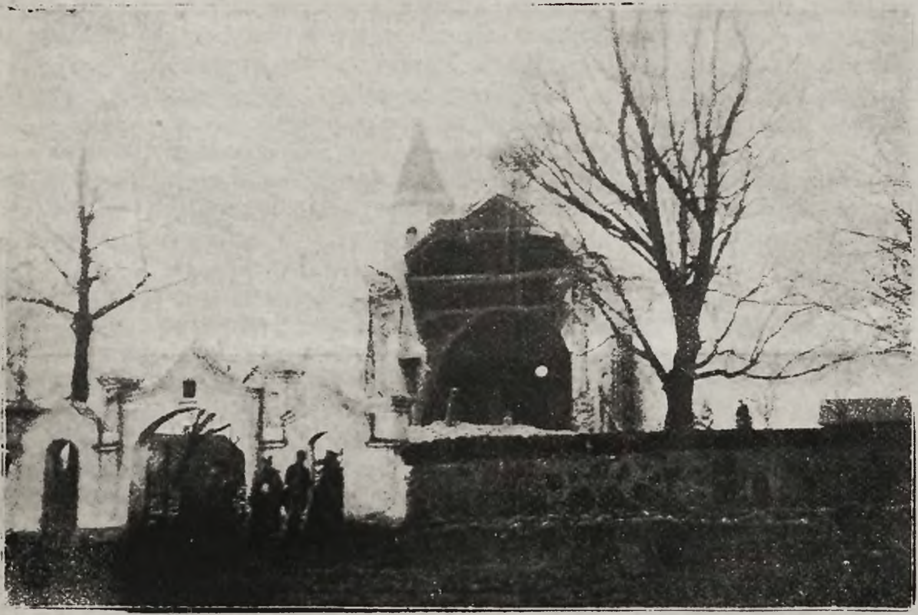
— Wiecie państwo co? — zaproponowała wesoło Anielka — niechaj Maciej jedzie sam do domu, a my pójdziemy piechotą. Odprowadzimy po drodze pannę Lidzińską. Gdzie pani mieszka?

— Ot, tu niedaleko, pod górką, u Durulowej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Oddział kilimkarstwa.



Z polskich pobojowisk: Zburzony kościół nad jeziorem Switeź.



Szlakiem Legionów: Przeprawa kawaleryi legionowej przez rzekę. C. B. W. N. K. N.

Wysocy goście na Wawelu.

Od chwili wybuchu wojny, która wysunęła sprawę polską na widownię polityki europejskiej, prastara siedziba królewska na Wawelu wywołała szczególne zainteresowanie oficyalnych kół niemieckich. Obok wielu dygnitarzy wojskowych i państwowych zwiedzał kilkakrotnie Wawel cesarz Wilhelm, a w ostatnich czasach oglądali szczegółowo zamek królewski na Wawelu: książę pruski Oskar, piąty syn cesarza Wilhelma, książę pruski Waldemar, syn księcia Henryka pruskiego, brata cesarza Wilhelma, oraz pruski generalny superintendent, dr. Dryander i jego syn, tajny radca cesarskiej kancelaryi gabinetowej.

Obaj dygnitarze pruscy, z których pierwszy jest nadwornym kaznodzieją cesarza niemieckiego, zwiedzali Wawel, jak zaznaczyli w rozmowie, z polecenia Wilhelma II.

Wysocy goście zwiedzali szczegółowo katedrę na Wawelu, groby królewskie, skarbiec, wreszcie wszystkie roboty około odnowienia Wawelu, oprowadzani przez architekta Skawińskiego i sekretarza Bogdaniego. Te wizyty na zamku królewskim zostały upamiętnione fotografiami, które zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Przemieniona wojna.

Wśród tylu niespodzianek, jakie zgotowała obecna wojna, najbardziej rzucającą się w oczy był już sam wygląd pola bitwy. Nie przypominało ono niczem efektownych obrazów z dawnych wojen. Okazało się ono tylko pustką, nad którą unosiły się obłoczki granatów, padających z ukrycia. Gwiżdżą niewidzialne kule, nad bezludnym obszarem krąży aeroplan w powietrzu, trzęsącem się od huku, który idzie niewiadomo skąd, bo proch bezdymny nie zdradza ukrycia armat ani karabinów maszynowych. Smierć, latająca bez szelestu skrzydeł, żołnierz zakopany w ziemię — oto kształt zewnętrzny katastrofy w roku 1914.

Ale i od tego czasu dużo się zmieniło w sposobie prowadzenia walki i w pejzażu wojennym. O tych zmianach, jakie zaszły od roku 1914 i 1915 zamieszcza ciekawe uwagi korespondent „Neue Züricher Ztg.“, dr. Müller, który zwiedzał niedawno okolice Sommy.

„Gościniec — powiada — który prowadzi do armii, przed laty dwoma był jednym sznurem wozów, bateryi polowych, patrolów kawaleryjskich i pułków, ciągnących pieszo w bój. Dzisiaj obraz zupełnie zmieniony przez to, że samochody zapanowały wszechwładnie nad szosą. Wygląda ona tak, jak wielkie bulwary paryskie lub Pola Elizejskie o siódmej wieczorem, gdzie samochody osobowe i ciężarowe suną obok siebie w równoległych szeregach, stękając i mrucząc. Tensam rytm słyszy się teraz na gościńcu wojennym, tylko cięższy, bardziej zdyszany, uciążliwszy. Latarnie acetylenowe błyszczą, krzyżując swe promienie. Syreny huczą, motory warczą, głos ludzki i stuk rzadki kopyt giną w tym rozgwarze wędrownej huty. Żołnierze trenowi zostali szoferami, podoficer zamienił ostrogi i szpicrutę na kierownicę samochodową i trąbkę. Piechota jest „jazdą“, bo jedzie do bitwy na samochodach, działa posługują się tym samym środkiem lokomocyi. Gościniec przemienił się zupełnie.



Wysocy goście na Wawelu: Książę pruski Oskar na krużganku Zamku Królewskiego. W pierwszym rzędzie stoją: książę Oskar, architekt Skawiński, komendant twierdzy krakowskiej, jen. Lukas, sekretarz Bogdani, pułkownik Grimm.

A pole bitwy? Opisywaliśmy swego czasu zdobyte rowy strzeleckie, z których nieprzyjaciel został wygnany bagnetem. Po walce wyglądały prawie tak samo „zacisznie", jak poprzednio, niby podziemne chałupki, nieraz z wszelkiemi wygodami. Fotografowaliśmy wsi, w których szalała walka. Na obrazkach tych mieszały się ślady furyi wojennej z resztkami spokojnego życia, przez powybijane okna widać było meble, obrazki na ścianach, naczynie w kuchni. Na polu, obok podkopów i rowów strzeleckich widziało się spokojne groby, żołnierskie z kruchymi krzyżykami, których nie tknęły odłamy granatów. Jak to się zmieniło!

Z tej jeszcze wcale romantycznej wizyi pola bitwy nie zostało dzisiaj nic. Teraz widzimy tylko ziemię, podrążoną kraterami po granatach. Wygląda to jak krajobraz księżycowy, widziany przez lunetę astronoma, jak bezgraniczny łańcuch małych wulkanów, które wygorzały i pogasły, a w łożyskach mają wodę. Nigdzie istoty żyjącej, nigdzie żadnego śladu organicznego życia wogóle. Niema murów, niema belek zwęglonych, drzewa i krzaki pokaleczone prawie do niepoznania. Tam, gdzie były wsi, wala się po parę desek... to wszystko, co zostało po kwitnącej osadzie. Reszta w ziemi, przewróconej do góry dnem na głębokości kilkunastu metrów. Gdzieniegdzie walają się krwawe kości, odarte z ciała nie przez rozkład, ale przez siłę wybuchu. Belki blokhauzów pogięte, jak zapałki, ziemia jeży się złomami żelaz, jak gdyby je tam umyślnie posiała ręka ludzka.


Przemieniona wojna: Francuskie rowy strzeleckie nad Sommą, zniszczone pociskami niemieckiej artyleryi.


Przemieniona wojna: Gotowe do odjazdu francuskie automobile na drodze bezpośrednio poza linią bojową.

A rowy strzeleckie? Te pięknie pocyrklowane korytarze łącznikowe, splecione jak siatka ze strzelnic i wałów? Dzisiaj wyglądają jak ruiny zamków rycerskich, z których nic już prawie nie pozostało, ledwie jakiś ślad zatarty, niby napis na wyblakłym pergaminie. Cała równina poorana pociskami, rozmokła od wody gruntowej, wydartej na wierzch przez granaty, wygląda jak bagno, albo jak brzeg morski po burzy. Na drogach i w rowach błoto, w którem człowiek grzęźnie powyżej kolan. Żołnierze siedzą w dziurach podziemnych, o głębokości kilku sążni. Siedzą milczący i zrezygnowani. Jak ongi ludzie jaskiniowi szukali pod ziemią schronienia przed niepogodą, tak wojska roku 1916 uciekają w głąb skorupy ziemskiej przed gradem żelaza".

Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie.

Wojna, która się sroży już rok trzeci i to głównie na naszych ziemiach, pociągnęła za sobą mnóstwo ofiar w ludziach. Część dzielnych obrońców rodzinnego kraju poległa śmiercią bohaterską na polu chwały, część ich wróciła już wprawdzie z frontu między swoich, ale jako kaleki i inwalidzi. Gdy pierwszym poświęcamy żałosne wspomnienie, wielbiąc ich męstwo i ofiarność, tem serdeczniej natomiast zająć się musimy losem drugich, by nie stali się ciężarem społeczeństwa, ale znaleźli po wojnie zajęcie, umożliwiające im zarobienie sobie uczciwie na kawałek chleba.

Taki cel i zadanie wytknął sobie Komitet opieki wojennej nad inwalidami i w całym kraju pozakładał szkoły fachowe, mające żołnierzy-inwalidów przysposobić do przyszłego praktycznego zawodu w miarę ich zdolności umysłowych i fizycznych.

Szkoły te rozwijają się nadzwyczaj pomyślnie. Zarząd wojskowy nie szczędzi funduszów na ich uposażenie, w parze z nim idzie i dobroczynność ogółu, spieszącego w miarę możności i sił z wydatną bardzo pomocą materyalną i moralną. Kierownicy i komendanci szkół pracują z poświęceniem dla dobra nieszczęśliwych, a ci, niedawno żołnierze, dziś uczniowie, z wzorową pilnością i gorliwością przyswajają sobie najróżnorodniejsze wiadomości, by z nich w późniejszem życiu praktycznie skorzystać.

I w Krakowie założono też Szkołę dla inwalidów wojennych, a oddział jej przemysłowy, mieszczący się przy ulicy Smoleńsk l. 9, ma na celu kształcenie zdolnych do zawodu praktycznego byłych żołnierzy w rozmaitych kategoryach rękodzieła i przemysłu.

Oddziały przemysłowe mieszczą się częściowo w gmachu miejskiego Muzeum techniczno-przemysłowego, gdzie uczniowie korzystają z wszelkich urządzeń maszynowo-technicznych, częścią zaś w sąsiedniej szkole imienia Jana Kantego na Smoleńsku.

Obecnie dział przemysłowy obejmuje następujące oddziały rękodzielnicze: 1. Warsztat szewski, 2. krawiecki, 3. stolarski, 4. ślusarski, 5. kowalski, 6. stelmarski, 7. zegarmistrzowski, 8. koszykarski, 9. be-


Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Oddział stolarstwa ręcznego.





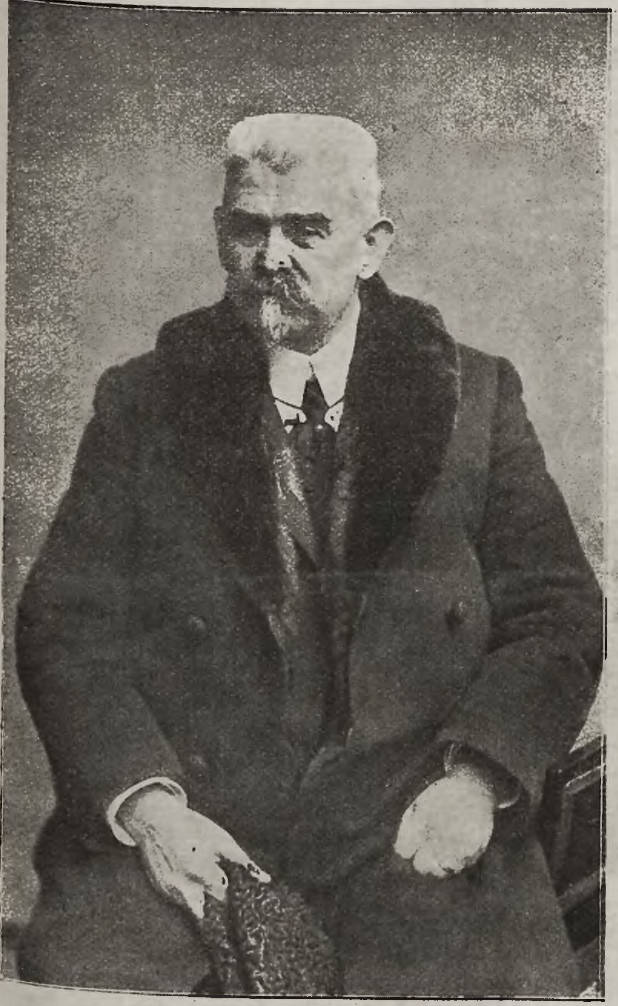
Wysocy goście na Wawelu:

Książę pruski Waldemar (×) na Wawelu.

Nadworny kaznodzieja cesarza Wilhelma, generalny superintendent, dr. Dryander (× i jego syn (××) tajny radca cesarskiej kancelaryi gabinetowej.



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Wyrób protez (sztucznych kończyn).



Zgon przyjaciela Polaków: S. p. Franciszek Hovorka.



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Wyrób sztucznych kończyn (protez).

dnarski, 10 introligatorski, 11. drukarski. 12 cyzelerski, 13 tokarski, 14. snycerstwo, 15. szczotkarstwo, 16 fryzyerski.

Do oddziału pi z mysłowego przyjmowani są inwalidzi, którzy bądźto pozostawali poprzednio w zawodach przemysłowych, a obecnie wskutek odniesionych okaleczeń nie mogą wykonywać swojego poprzedniego zawodu i muszą obrać nowy, odpowiedni do ich zdatności fizycznej, bądź też inwalidzi, którzy, nie mając żadnego zabezpieczenia majątkowego, pragną poświęcić się nowym zawodom przemysłowym.

Nauka w oddziale przemysłowym jest zarówno praktyczną, jak i teoretyczną. Nauczycielami są zawodowi werkmistrze z rozmaitych zawodów przemysłowych, przydzieleni obecnie przez komendę wojskową do c. i k. Szkoły wojennych inwalidów.

Nauka trwa przeciętnie jeden rok, po ukończeniu której inwalidzi otrzymują urzędowe poświadczenia nauki.

Kierownikiem technicznym oddziału przemysłowego jest inżynier Eugeniusz Tor, komendantem wojskowym nadporuczn k Stanisław Piotrowski.

Tutaj znajduje się także i warsztat, wyrabiający sztuczne kończyny (protezy) dla żołnierzy, okaleczałych na polu walki.

Na ogół Szkoła, dzięki umiejętnemu kierownictwu przełożonych i pilności uczniów, rozwija się bardzo pomyślnie. Wysokie osobistości, które ją zwiedzały i miały sposobność przekonać się o postępach ele-



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Oddział stolarstwa maszynowego.

wów, z całem uznaniem wyrażają się o jej prowadzeniu i urządzeniu, mogącem służyć za wzór podobnym prawdziwie humanitarnym instytucyom. Nie ulega kwestyi, że i ogół popiera wydatnie starania inicyatorów, przyczyniając się w ten sposób do przysporzenia naszemu społeczeństwu pożytecznych i pracowitych jednostek. Zapewnienie im na stare lata bodaj jakiego takiego spokojnego bytu, to nasz święty obowiązek, od którego nikt usuwać się nie powinien i nie może.



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Oddział ślusarstwa.

Zgon przyjaciela Polaków.

W tych dniach zmarł znany szeroko w Polsce publicysta i nakładca czeski, Franciszek H vorka, gorący przyjaciel Polaków. Zmarł po ciężkiej chorobie, która od lat trzech nurtowała jego organizm, powodując dlań ciężkie przejścia rodzinne i polityczne.

Urodzony w roku 1856 w Brzeźnicy, niedaleko Przybramu, gimnazyum ukończył w Klattowie, poczem poświęcił się publicystyce. Drukował od wczesnej młodości różnego rodzaju utwory powieściowe, studya historyczne i literackie, przekłady z polskiego w pismach czeskich, a następnie sam wydawał pismo czeskie, poświęcone teatrowi.

Następnie wszedł do redakcyi staroczeskiego dziennika „Pokrok" („Postęp") który przemienił się z czasem w staroczeski „Hlas Národa" i pracował w nim dwadzieścia lat. W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia był wiedeńskim korespondentem „Hlasu Národa". Polityka wszakże nie była główną dziedziną jego pracy. Najwięcej uwagi poświęcał podtrzymywaniu kulturalnych stosunków czesko-polskich. Z polskim światem literackim i dziennikarskim w Galicyi łączyły go ściśle osobiste stosunki. Przed piętnastu mniej więcej laty wystąpił z redakcyi „Hlasu Národu" i poświęcił się założonej przez siebie księgarni, nie zrywając jednak węzłów przyjaźni z polskiemi kołami literackiemi. Księgarnię tą prowadził bardzo ruchliwie, poświęcając czas wolny podróżom do krajów słowiańskich. — Przed trzema laty uległ chorobie nerwowej, która niszczyła jego siły żywotne i umysłowe. Już przed wojną był prawie cieniem tylko; jego siły duchowe coraz bardziej zamierały, aż wreszcie śmierć uwolniła go od ciężkich cierpień.



Partya robotnicza przy budowie drogi na wschodnim froncie.

Obrazki wojenne:



Kobiety zatrudnione w cegielni wojskowej poza linią bojową. (Fot. Waydowicz)

Żywą illustracyą stosunków, jakie łączyły ś. p. Hovorkę z polskim światem literackim i artystycznym, były bogate zbiory pamiątek, jakie zgromadzić zdołał w ciągu lat trzydziestu. Jako czynny uczestnik i organizator Zjazdów dziennikarzy słowiańskich należał do wszystkich polsko czeskich komitetów wystawowych i posiadał bogatą kolekcyę albumów, listów, fotografij i pamiątek od najwybitniejszych osobistości w Polsce. Dom jego w Pradze, w połowie zamieniony na muzeum, był schroniskiem gościnnem dla przejeżdżających Polaków, którym całem sercem był oddany.

Za tę życzliwość Polacy imię wiernego przyjaciela i druha we wdzięcznej zachowają pamięci.



Z frontów bojowych: Zburzony kościół nad Sommą.

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

II

Wszedł do gabinetu pana Ginory'ego śmiałym krokiem i skłonił się przed nim lekko. W ukłonie tym bystre oko sędziego dojrzało stuczną brawurę i wyzwanie.

Jerzy Montin powiódł spojrzeniem dookoła. Pomiędzy dozorcami dojrzał nieznaną mu postać Pradesa. Zdawał się być zdziwionym tym widokiem.

Pan Ginory tymczasem badał ich obydwóch. Chciał koniecznie podchwycić jaki znak porozumienia pomiędzy tymi ludźmi, których uważał za wspólników. Dostrzegł tylko, że Karol Prades z ciekawością patrzał na przybyłego — nic zaś w zachowaniu Jerzego Montin nie zdradzało, żeby kiedykolwiek już w życiu spotkał tego człowieka. Twarz oskarżonego spokojna była, spojrzenie poważne i obojętne.

— To jest mistrz w sztuce symulowania. — pomyślał sędzia — Nie zdradzi się nigdy.

Pomimo, iż niechętnie i surowo usposobiony był względem oskarżonego, sędzia w tej chwili odczuł mimowolny podziw dla tej niezwalczonej siły charakteru i zuchwałego uporu. Bernardet był również obecnym temu spotkaniu, tak bowiem sobie życzył pan Ginory.

Stał trochę na uboczu i małe przenikliwe jego oczy nie schodziły z twarzy Jerzego Montin. Patrzał i badał z taką intenzywnością i skupieniem, że ciemne żyły wybiegły na jego wypukłe czoło, a oczy chwilami przysłaniała mgła zmęczenia.

Po jakimś czasie wyraz rozczarowania i niezadowolenia osiadł na jego okrągłej twarzy. Więc nic! nic! nie odczyta z tej dumnej, wyniosłej maski, on, taki zręczny do podchwytywania myśli najuporniejszych przestępców! Bernardet był wściekły! Nie mógł dotąd wybadać, czy istnieje jaka łączność pomiędzy tymi ludźmi, a w podobnych wypadkach, przy zorganizowaniu nagłego spotkania wspólników, ci zazwyczaj zdradzali się ruchem jakimś, spojrzeniem, czy słowem. Zdumienie ich i niepokój nie uszło nigdy jego bystrej uwagi, a tu nic, zgoła nic!

Na spokojnej twarzy Jerzego Montin nie zadrgał muskuł żaden!

Badanie sędziego również pozostało bez skutku. Zniecierpliwiony odwrócił spojrzenie od oskarżonego i wyrzekł krótko, wskazując na krzesło stojące przed nim w pełni światła, bijącego od okna.

— Proszę tu usiąść.

Jerzy Montin posłuchał rozkazu w milczeniu.

— Czy pan poznaje tego człowieka? — zapytał pan Ginory.

— Którego? — odparł Montin.

— Tego, który tu stoi przed panem. — rzekł sędzia, wskazując Pradesa.

Po kilku sekundach obserwacyi, oskarżony odpowiedział pewnym głosem:

— Nie! Nie znam go.

— Nie widział go pan nigdy?

— Nigdy.

— Zdaje mi się, że się pan myli.

— Nie mylę się, panie sędzio. — odparł Jerzy Montin, patrząc prosto w oczy sędziemu.

— A pan? — zwrócił się sędzia do Pradesa — Czy spotkał pan już kiedy Jerzego Montin?

— Nigdy! — odpowiedział Prades, chrypliwym głosem, który dziwnie nie harmonizował z czystem i pewnem brzmieniem słów Jerzego Montin.

— Ten pan jest jednakże oryginałem portretu, sprzedanego przez pana pani Colard.

— Portretu, sprzedanego przezemnie? — powtórzył z osłupieniem Prades wodząc niespokojnie oczami.

— Proszę się bacznie przypatrzeć panu Montin. — wyrzekł rozkazująco sędzia — Czy nie rozpoznaje pan tych rysów? Czy nie widzi pan, że portret przedstawia tego właśnie człowieka.

— Tak, to prawda. — wyszeptał Prades, którego rozszerzone źrenice wbiły się upornie w twarz więźnia.

— Więc pan przyznaje, że mamy przed sobą oryginał portretu?

— Przyznaję. Podobieństwo jest widoczne.

— Ah! To doskonale! — zawołał pan Ginory z wybuchem żywego zadowolenia — Mam nadzieję, że teraz wyjaśni nam pan rzecz niejedną.

— Nie mam nic do wyznania.

— Zobaczymy. Przedewszystkiem proszę mi powiedzieć, w jaki to sposób mógł pan tak szybko rozpoznać oryginał w rysach portretu, skoro pan twierdzi, że po raz pierwszy znajduje się w obecności Jerzego Montin?

— Nie wiem. — wyszeptał Prades, nie rozumiejąc widocznie ważności tego pytania, zadanego w tonie swobodnym i naturalnym.

— Nie wie pan? A więc ja to panu wyjaśnię. — odparł dobrodusznie pan Ginory — Jest rzeczą pewną, że rozpoznaje pan te rysy, dla tej przyczyny, że wpatrywał się pan długo w portret, który był w pana posiadaniu, miał go pan często w rękach, przyglądał się pan mu, obracał w rękach, coś robił nawet koło niego. Ot, na przykład mógł pan ramy z niego zdejmować! — rzucił nagle pan Ginory, patrząc uważnie w twarz Pradesa.

— Ramy? Jakie ramy? — zapytał tenże ze zdumieniem — Nic nie rozumiem z tego, co pan mówi.

— A mnie się zdaje, że pan rozumie — odrzekł stanowczo pan Ginory — albo zrozumie za chwilę, do czego ja panu chętnie dopomogę.

— Ale te ramy? Skąd to przypuszczenie? — wymówił Prades, z lękiem patrząc na sędziego.

— Nie tylko je pan oglądał, ale nawet oderwał i to z siłą. — mówił dalej przekonywująco pan Ginory — Widzi pan te ślady, pozostawione na płótnie? Odkryliśmy, jak pan widzi, portret ten u pani Colard, możemy więc z równą łatwością odnaleźć ramy, należące do tego obrazu u innej handlarki. Nie prawdaż, Bernardet, że ty to w kilku godzinach potrafisz zrobić?

— Oczywiście, panie sędzio! — odrzekł uśmiechając się chytrze Bernardet.

— Wie pan więc, jak rzeczy stoją. I jeżeli do zeznań pani Colard, bardzo jasnych i prawdziwych, dodamy jeszcze inne, cóż wtedy pan będzie miał do powiedzenia, panie Prades.

W gabinecie sędziego zaległo teraz głębokie milczenie. Prades odwracał głowę to w tę, to w inną stronę, patrząc błędnemi oczami, szukając jakiegoś wyjścia z tej matni, w jaką niespodziewanie popadł.

Ciężkie spojrzenie Jerzego Montin spadło na niego i obejmowało całą jego niepewną postać. Pan Ginory zaś ze swojej strony badał surowo każdy rys i drgnienie jego zmienionej i bladej twarzy.

Nareszcie Prades przemówił. Głos jego był zduszony i urywany.

— Powtarzam, że nic z tego nie rozumiem. O jakiej ramie wspomina pan sędzia? Rama i portret? Cóż to ma znaczyć. Dlaczego pan sędzia tak nalega na mnie? Zeznania tej kobiety są fałszywe i niewiem, o jakich innych zeznaniach pan mówi. Gdzież jest ten drugi świadek, który ma mnie obarczyć tem nowem zeznaniem?

— Gdzie jest świadek? — powtórzył pan Ginory — Oh! O to niech się pan nie troszczy! Może się znajdować bardzo blizko. Zawezwę go tu po raz drugi.

— Dosyć jednego! — wyrzekł Prades, rzucając na wylęknioną panią Colard wściekłe spojrzenie.

W głosie jego brzmiała okrutna groźba i gniew, kiedy dodał po chwili:

— Dosyć jednego świadka! Nawet zanadto! Nie powinien się tu znajdować!

Palce jego ręki prawej zaciskały się przy tych słowach nerwowym ruchem, jak gdyby na rękojeści noża.

Bernardet zauważył ten ruch wymowny i od tej chwili nabrał przekonania, że rzeczywistym mordercą pana Rovere nie był Montin, lecz Karol Prades.

Widział tę silną, muskularną rękę, uzbrojoną w ten sam nóż, który znaleziono w jego kieszeni, pochyloną nad skrwawionem ciałem nieszczęśliwej ofiary, po dokonaniu zbrodni.

Ale w takim razie jakąż tu rolę grał Jerzy Montin? Czy był jego wspólnikiem? Tamten mógł być tylko jego biernem narzędziem któremu narzucił swoją wolę i opłacił stosownie. Bo przecież Bernardet nie mógł ani na chwilę zapomnieć, że rysy Jerzego Montin, jako dowód niezbity jego winy, po zostały odbite w źrenicach zmarłego.

Chociaż nieme i bezsilne, oskarżały Jerzego Montin, że w chwili ostatniej konania znajdował się przy zamordowanym swoim przyjacielu i że był świadkiem zbrodni tamtego.

Jasne zeznanie pani Colard, tyczące się Karola Pradesa, nie pozostawiło żadnych wątpliwości w umyśle pana Ginory.

Ten Prades był z wszelką pewnością człowiekiem, który odsprzedał jej portret byłego konsula. Tego jeszcze jednak sędzia nie wiedział, czy portret ten danym mu był przez Jerzego Montin. Rezultat konfrontacyi był bardzo nikły i na nim sędzia nie mógł opierać dalszych swoich wywodów. Nic jeszcze nie wskazywało, żeby ci dwaj ludzie, stojący teraz przed nim, znali się i spotkali kiedykolwiek. Montin nie okazał najmniejszego zmieszania na widok Pradesa, ten zaś zdradził się tylko rozpoznaniem w nim modelu, służącego do portretu, dokonanego ręką malarza Bu lry. Stanowcze zaś twierdzenie handlarki, pani Colard, obciążało poważnie Karola Pradesa.

Pan Ginory pierwszy przerwał milczenie, trwające długą bardzo chwilę

Nie podnosząc oczu od biurka, wyrzekł krótkim, rozkazującym tonem, zwracając się do pisarza:

— Proszę przygotować mandat!

Prades napróżno chciał poprzez głowę pisarza odczytać napis, widniejący na arkuszu urzędowego aktu.

Wówczas pan Ginory odsunął lekko fotel swój od biurka i, skinąwszy na pisarza, rozsiadł się wygodnie spokojnym donośnym głosem zadając pytania:

— Nazwisko?

— Prades! — odpowiedział niespokojnie zapytany.

Na twarzy jego, bladej i ściągniętej kurczowo, widniała bezsilna wściekłość i przestrach. Musiał domyślić się, że ten zapisany arkusz papieru uczyni z niego wkrótce więźnia, przed którym zamkną się na długie lata ciężkie, okute drzwi, prowadzące do wolnego życia.

— Imię? — pytał dalej sędzia.

— Henryk!

— Przed chwilą jeszcze mówił pan Karol. Proszę się nie mylić. Omyłki takie są zgubne.

— Henryk, Karol, czy Karol, Henryk, to wszystko jedno! — odburknął Prades — Jak sobie pan sędzia życzy.

— Życzę sobie tylko, żeby pan mówił prawdę. — odparł surowo pan Ginory, podczas kiedy pióro pisarza z lekkim zgrzytem biegło szybko i wprawnie po rozłożonym papierze.

— Zajęcie?

— Handlowiec.

— Wiek?

— Dwadzieścia ośm lat.

— Miejsce zamieszkania?

— Sydney, w Australii.

Na papierze urzędowym, z wydrukowanym nagłówkiem i uwagami, wolne białe miejsca coraz szybciej wypełniane zostawały okrągłem, równem pismem pisarza.

„Sąd pierwszej instancyi w departamencie Sekwany.

Mandat aresztowania Henryka Karola Pradesa.

Ja, Edmund Jerzy Ginory, sędzia śledczy, rozkazuję wszystkim ajentom policyjnym, zatrzymać wyżej wymienionego oskarżonego i zaprowadzić do więzienia w Mazas w myśl ustawy prawnej.

Karol. Henryk Prades, lat dwadzieścia ośm, handlowiec z Sydney, oskarżony jest o współnictwo w zbrodni, dokonanej na Piotrze Ludwiku Rovere, byłym konsulu w Buenos-Ayres.

Polecamy dyrektorowi więzienia w Mazas odebrać więźnia i zatrzymać go do dalszego rozporządzenia. Wzywam wszystkie władze sprawiedliwości publicznej do współudziału w wykonaniu niniejszego wyroku, o ile by tego zaszła potrzeba.

Wydane w Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu 12. lutego 19 . ."

Pod stemplem, umieszczonym na wyroku, pan Ginory ręką pewną złożył swój podpis, mówiąc równocześnie do pisarza:

— Rysopis oskarżonego proszę starannie wypełnić!

Wówczas stała się rzecz nieoczekiwana. Prades skoczył naprzód z zamiarem rzucenia się na sędziego, ale już ciężkie i sprężyste ręce Bernardeta opuściły się silnie na jego ramiona i przykuły do miejsca.

— Spokojnie, spokojnie, mój przyjacielu — wyrzekł z mocą. — Widzisz przecież, że jesteś w naszych rękach!

Twarz Pradesa poczerwieniała, żyły na skroniach krwią nabiegły. Przez chwilę usiłował uwolnić się z żelaznego uścisku ajenta, rzucił się raz jeszcze korpusem naprzód z wściekłym wyrazem w rozszerzonych oczach i ręce drapieżnym, gwałtownym ruchem wyciągnął ku szyi sędziego.

Druga para rąk zwaliła się na niego ciężko i ubezwładniła. Wówczas Prades, pokonany już i bezsilny, nie bronił się już dozorcom, którzy go otoczyli, odpychając na drugi koniec pokoju.

Z ust jego wybiegł tylko dziki okrzyk:

— Aresztujecie mnie? Do stu piorunów! Wy mnie aresztujecie?

Pan Ginory, spokojny i obojętny, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło, wsparł się ramionami o biurko i, bawiąc się piórem, wyrzekł powoli, uśmiechając się z zadowoleniem:

— Ten jeden moment rozjaśnił wszystko. Człowiek ten sam się zdradził najlepiej, dzięki wybuchowi złości. Chciał się na mnie rzucić, tak, jak się rzucił na pana Rovere. Pamiętaj, Bernardet — zwró

cił się do ajenta, pilnującego więźnia — że najlepszym sposobem, aby doprowadzić winnego do zdradzenia się, jest podrażnić go i doprowadzić do utraty równowagi moralnej. Wtedy czyny jego same oskarżać go będą. Zabierzcie go stąd prędko!

Dozorcy otworzyli drzwi i przemocą wyprowadzili przez nie opierającego się Pradesa, który krzyczał, jak szalony:

— Łajdaku! Kanalio! Jeszcze się spotkamy kiedy! A wtedy pilnuj dobrze swojej głowy, bo ci ją jednem uderzeniem zdejmę z karku!

Chwilę jeszcze głos jego ochrypły i zduszony rozlegał się po długich korytarzach sądowego gmachu.

— A teraz — rzekł pan Ginory po chwili milczenia — zostawcie mnie samego z panem Montin.

— Samego? — powtórzył niespokojnie Bernardet spoglądając ze zdziwieniem na swojego zwierzchnika.

— Tak jest, samego — brzmiała odpowiedź pana Ginory'ego.

Pisarz na te słowa powstał, porządkując rozrzucone papiery i wkładając je do skórzanej torebki.

— Pan zostanie, panie Tavarel — rzekł pan Ginory.

Bernardet, zdziwiony w najwyższym stopniu tym rozkazem, wyszedł powoli, oglądając się od drzwi kilkakrotnie.

— No, panie Montin — odezwał się łagodnie sędzia, kiedy oskarżony znalazł się tak, jak przed kilkoma dniami, naprzeciw niego podczas pierwszej z nim rozmowy — czy namyślił się pan już? Czy mogę liczyć na jaką odpowiedź od pana?

Jerzy Montin zacisnął silnie usta i nie odpowiadał wcale.

Pan Ginory spojrzał na jego twarz poważną, w której widniała energia i siła, i lekko wzruszył ramionami.

— Cela więzienna — podjął dalej sędzia — jest dobrym doradcą. Przekonałem się wielokrotnie, że wpływa ona dodatnio na kierunek myśli zamkniętego w niej człowieka i budzi nieznane w nim dotąd uczucia i wrażenia.

— Tak! Ma pan słuszność, panie sędzio — odparł Montin sarkastycznie. — Umysł człowieka gorąco pracuje w tych czterech wilgotnych ścianach. Nie zmrużyłem oka, odkąd się tam znajduję. Ani na chwilę nawet jedną! Bezsenność zabija mnie. Zdaje mi się, że wkrótce szaleństwo mnie ogarnie!

— Tak, tak — potwierdził pan Ginory — to musi być przykre uczucie... A więc, panie Montin...

— A więc...

Montin rzucił szybkie spojrzenie na pisarza, siedzącego przy stoliku w pogotowiu. Czekał cierpliwie oparłszy brodę na ręce, w której trzymał pióro.

— A więc, panie sędzio — podjął oskarżony wzruszonym głosem — oto, jak rzeczy stoją. Uczyniłem sobie niegdyś niezłomne postanowienie milczenia i zachowania przysięgi, którą mnie obarczono. Jednakże obecnie znajduję się w takim rozstroju ogólnym, że przysięgi tej wypełnić nie jestem w stanie.

— Ah! — szepnął sędzia z ciekawością, patrząc na Jerzego Montin. — Słowa te sprawiają mi wielkie zadowolenie, naprawdę.

— I dziwią pana również, panie sędzio — odparł ze smutnym uśmiechem Montin — ale to trudno... doprowadził mnie pan sam do tego stanu... Męczę się strasznie... duszę się w tem zatęchłem powietrzu mojego więzienia... Oh, dobry psycholog z pana, panie sędzio! Pan wiedział, czem złamać mój upór i doprowadzić mnie do mówienia...

— Więc teraz liczyć mogę na zeznania pana? — przerwał lekko zmieszany pan Ginory.

— Tak jest. Ale to, co panu mam do powiedzenia, pan tylko jeden usłyszeć może. Pan tylko jeden... Powiem wszystko... wszystko... ale niech nie będzie świadków przy naszej rozmowie.

— Dobrze, stanie się według życzenia pana — odpowiedział uprzejmie pan Ginory, niemniej wzruszony od więźnia. — Panie Tavarel... niepotrzebnym mi pan teraz będzie.

Pisarz wstał szybko i, kłaniając się, wyszedł z pokoju.

Jerzy Montin, podniecony i zdenerwowany, przechadzał się nierównym krokiem po gabinecie, przystając chwilami i zatapiając się w głębokiem rozmyślaniu.

Pan Ginory, wodząc za nim ciekawem spojrzeniem, czekał cierpliwie, aż sam rozpocznie rozmowę.

Ale Jerzy Montin, tak, jak gdyby zapomniał o danej obietnicy. Zamyślał się coraz częściej i coraz większa bladość ogarniała jego twarz zmęczoną...

— To niemożliwe... to niemożliwe — szeptał, ręką przesuwając po czole — a jednak muszę... muszę... czuję, że oszaleję...

Nareszcie zwrócił na sędziego oczy, w których przebijała się rozpacz i wielkie cierpienie fizyczne i badał długą chwilę jego niewzruszoną, spokojną twarz.

— Może zechce pan usiąść, panie Montin? — przerwał milczenie sędzia. — Te kilka dni w więzieniu osłabiły pana.

Na słowo „więzienie", Montin wstrząsnął się nerwowo.

— Tak — odparł bezwładnie, opadając na krzesło. — Zmęczony jestem.

— Sądzę, że uspokoi się pan, kiedy nareszcie zrzuci ze siebie ten ciężar przygniatający — rzekł dobrotliwie pan Ginory.

Po twarzy oskarżonego przeszedł jeszcze cień wahania.

— Panie sędzio — odezwał się niespokojnie — czy to wszystko, co w tym gabinecie wypowiedziane zostanie, będzie powtórzone w sali sądowej, przed publicznością? Czy to jest konieczne? Czy tego nie będzie można uniknąć?

— To zależy — odpowiedział pan Ginory. — Pomówimy jeszcze o tem w danej chwili. W każdym razie winien pan przedewszystkiem to, co pan wie, wyjaśnić sprawiedliwości. Czy to będzie zwierzenie, oskarżenie, czy wyjaśnienie, ja, jako sędzia śledczy, prowadzący sprawę, wiedzieć muszę.

— Musi pan? — powtórzył Jerzy Montin, prostując się ostatnim wysiłkiem.

— Nie tylko muszę, ale mam prawo żądać od pana całej prawdy! Pan to przecież rozumieć powinien.

— Rozumiem. Niech i tak będzie. Ale zwracać się będę więcej do człowieka honoru, niż do urzędnika, przedstawiającego wyższą władzę.

— Są oni nieodłączni od siebie — rzekł poważnie pan Ginory. — Niech się pan dłużej nie waha.

— Jeżeli dotąd wahałem się, jeżeli przyjąłem dobrowolnie na siebie rolę winnego, to jedynie dla tej przyczyny, iż wydawało mi się rzeczą nieprawdopodobną, aby prawda sama nie ukazała się w jakiś sposób w prawdziwem świetle.

— Czekał pan więc na sprzyjające okoliczności? — podjął pan Ginory. — To było ryzykowne postanowienie. Mógł pan je odpokutować ciężko.

— Ma pan słuszność, ale łudziłem się do chwili ostatniej, że bez mojego współudziału, bez zerwania przysięgi, wiążącej mnie, doczekam się wyjaśnienia całej sprawy. Bo przecież pan sędzia musi przyznać, że nie jest rzeczą łatwą wyjaśnić tajemnicę, która nie do nas należy.

— Sędziemu śledczemu można wszystko powiedzieć — zauważył pan Ginory. — W pokoju tym, w którym się znajdujemy, odebrałem już wiele ważnych zwierzeń i zeznań, które nie wyszły poza te drzwi, tak, jak z konfesjonału spowiednika. Może mi pan zaufać panie Montin. Jeżeli to tylko będzie możliwe i zgodne z wymaganiami prawa, nie zawiodę zaufania pana.

— Dziękuję panu! — zawołał gorąco Jerzy Montin, patrząc z wdzięcznością na sędziego.

Pan Ginory sam dziwił się nagłej zmianie, jaka w nim nastąpiła. Jeszcze przed godziną gotów był Jerzego Montin oskarżyć o kłamstwo, wierząc, że gra komedyę, dobrze obmyślaną i przygotowaną zawczasu, uśmiechał się pogardliwie, słysząc o tej fikcyjnej przysiędze, zmuszającej go do milczenia, którą uważał tylko za środek do zakrycia winy! A teraz do umysłu sędziego wkradało się coraz silniejsze przeczucie, że ten człowiek szczerym był w swoich zeznaniach i musiał mieć ważny powód do milczenia, które równie surowo oskarżało go, jak jawne przyznanie się do popełnionej zbrodni.

Pan Ginory czuł nawet pewne wyrzuty sumienia i patrzał ze współczuciem na bladą, zmękaną twarz oskarżonego.

Dzisiaj Jerzy Montin w sposób całkiem odmienny przystępował do kwestyi. Mówił głosem spokojnym i stanowczym, nie unosząc się gniewem i dumą, jak przy pierwszych badaniach w tym samym gabinecie.

Dłuższe rozmyślanie i samotność, a przedewszystkiem kilkodniowy pobyt w celi więziennej, złamało upór tego wytwornego, ambitnego człowieka. Pan Ginory wiedział już teraz, że nie będzie potrzebował użyć gróźb i ostrych nalegań, aby wydobyć z niego tak zazdrośnie chowaną tajemnicę. Więzienie w tym wypadku okazało się najlepszym sprzymierzeńcem sędziego.

— Powiem panu wszystko, panie sędzio, — przemówił po chwili milczenia oskarżony. — Jestem do tego pomimo woli zmuszony. Pomimo mojej nadziei, prawie pewności, nie zaszło dotąd poza moją wiedzą nic takiego, coby przekonać pana mogło, że nie kłamałem i jestem uczciwym człowiekiem.

— Słucham pana! — odparł pan Ginory, nie mogąc ukryć ogarniającego go wzruszenia.

XII.

Spowiedź Jerzego Montin trwała długo. Wypowiedziana była głosem przejmującym, pełnym smutku i nerwowego podniecenia. Przed oczyma zasłuchanego sędziego przewijały się lata młodości oskarżonego, przeżyte wspólnie z ukochanym przyjacielem, Roverem, wspomnienia dziecinne, przeszłość szczęśliwa na zawsze zatarta — a później, kiedy już pierwszy szron życia zwarzył młodociane popędy i marzenia, szereg gorzkich rozczarowań, żal za niepowrotnie zmarnowanem życiem, ciężkie chwile wyrzutów, szamotanie się bezskuteczne, które doprowadziło go do rzucenia się w wir światowego życia, gdzie szukać chciał zapomnienia i chwilowych rozrywek, mogących mu choć w części zastąpić to, co zmarnował lekkomyślnie.

— Oh! Panie sędzio, ciężko opłaciłem szaleństwa mojego bezcelowego życia. — mówił Jerzy Montin wzruszonym głosem — Doprowadziły mnie do tego, co jest dzisiaj. Gdyby nie one, gdyby nie to życie hulaszcze, które prowadziłem czas jakiś, takie straszne podejrzenie spaśćby na mnie nie mogło. W tem życiu niespokojnem i niedorzecznem, jakie sobie sam stworzyłem, Henryk Rovere, ten, o którego zamordowanie posądzono mnie — był jedynym, prawdziwym i szczerym przyjacielem. Był on moją podporą w niejednej, ciężkiej chwili i człowiekiem, na którym mógłem polegać w zupełności.

Rovere zaś, według określenia Jerzego Montin, był to filozof dziwnie pesymistycznie zapatrujący się na wszystkie sprawy życia. Tak, jak i jego przyjaciel, kilka lat pierwszej młodości poświęcił zabawom i użyciu, nie mogąc pokonać w sobie pragnienia radości i rozkoszy. Widywano go wszędzie, gdzie wesołość i sztuczny humor kazał zapominać o poważniejszych celach i obowiązkach, ale ten stan u niego trwał krótko. Przekonał się wreszcie, że bezinteresowna przyjaźń rzadką jest rzeczą, zabawy i pijatyki nie dają mu tego, czego szukał i wycofał się zupełnie z dawnych, błyskotliwych towarzystw, przekładając nad nie samotność i spokój.

— Ja, wówczas jeszcze — mówił dalej Jerzy Montin — nie przestawałem gonić za przyjemnościami, nie zwracając uwagi na siwiejące już włosy na skroniach i wyraz politowania i zdumienia, z jakim mnie witali młodsi odemnie przyjaciele, zdziwieni moją upartą obecnością w jasno oświetlonych salonach, napełnionych śmiechem i głośną rozmową. Zauważyłem, że w Rovere w tym czasie wystąpiło jeszcze gorętsze pragnienie samotności. Zamykał się dniami całymi u siebie, nie dopuszczając do siebie nikogo, rozmyślając nad latami zmarnowanego życia. Wtedy przyjaźń nasza zacieśniła się jeszcze więcej. Ja jeden tylko przestępowałem próg jego mieszkania. Dziwna z nas była para przyjaciół. Ja starałem się ogłuszać dalej, aby zapomnieć o przeszłości, nie patrząc, co mi przyniesie dzień następny — on zaś stawał się z dniem każdym dzikszy i nieprzystępniejszy dla ludzi.

— Dziwnie skomplikowana jest natura ludzka. — zauważył pan Ginory, milczący dotąd — Ciekawym jest, dlaczego, pomimo tego silnego węzła przyjaźni, jaki was wiązał ze sobą, usposobienia wasze nie uległy obopólnej zmianie?

Pan Ginory, mówiąc to głębokiem spojrzeniem objął postać Jerzego Montin i zdumiał się wyrazem jego twarzy. Tragiczny smutek wywołany wspomnieniami o zmarłym przyjacielu, przebijał się w jego zamglonych oczach, usta drgały nerwowym skurczem, a na skroniach ukazała się sieć ciemnych, nabrzmiałych krwią żył.

— Nie sądzi pan chyba, że dalej gram komedyę, tak, jak to mnie pan pierwotnie posądzał. — podjął wzruszonym głosem Montin — Niech mi pan wierzy, ja szczerze przywiązany byłem do Rovere. Z biegiem lat, życie rozdzieliło nas kilkakrotnie. On poszedł szukać szczęścia i majątku, gdzieś na krańcach świata, ja zaś niszczyłem to, co miałem w Paryżu. Ale wiedzieliśmy zawsze o sobie i kiedy Rovere powracał do Francyi, witaliśmy się z równą zawsze radością. I naprawdę mogę powiedzieć, że z rokiem każdym, który głowy nasze przyprószał siwizną, przyjaźń nasza utrwalała się i stawała się gorętszą. Rovere w gruncie rzeczy nie posiadał nigdy szczerej wesołości. Był, więcej niż ja, zamknięty w sobie i milczący. Od najpierwszych lat młodości wlókł za sobą nieodstępną i tragiczną towarzyszkę — nudę. Jeżeli wybrał karyerę dyplomatyczną, to jedynie w tym celu, aby jako konsul mógł podróżować, żyć daleko od dawnych ludzi i miejsc i prowadzić życie zupełnie odmienne od tego, jakie wiódł dotąd. Powtarzałem mu często ze śmiechem, że dręczy go jakaś miłość nieszczęśliwa, o której zapomnieć nie może.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Rząd Królestwa Polskiego.

Tymczasowy rząd polski stał się faktem. Rada Stanu Królestwa Polskiego w niedzielę dnia 14 stycznia b. r. została otwartą. Uroczystość ta odbyła się w sali kolumnowej zamku królewskiego, gdzie do zgromadzonych członków Rady Stanu przemówili przedstawiciele obu państw sprzymierzonych, jenerał Beseler i jenerał Kuk, a odpowiedział im imieniem Rady p. Wacław Niemojowski. Dnia następnego t. j. w poniedziałek 15. stycznia odbyło się po uroczystem nabożeństwie w katedrze, pierwsze posiedzenie Rady Stanu, na którem wybrano marszałkiem p. Niemojowskiego. W drodze z katedry do pałacu Rzeczypospolitej członkowie Rady Stanu byli przedmiotem gorących owacyi, a przed pałacem zostali powitani przez hr. Szeptyckiego, który na czele kompanii honorowej Legionów oddał honory wojskowe pierwszemu prawowitemu rządowi polskiemu.

* * *

Skład Rady Stanu jest następujący:

1. Dr. Stanisław Bukowiecki, adwokat przysięgły,
2. Stanisław Dzierzbicki, ziemianin, zastępca prezesa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie,
3. Stefan Dziewulski, adwokat przysięgły,
4. Ludwik Górski, ziemianin, inżynier,
5. Ludomir Grendyszyński, publicysta, prawnik.
6. Stanisław Janicki, ziemianin,
7. Dr. Paweł Jankowski, lekarz w Lublinie,
8. Antoni Kaczorowski, inżynier,
9. Józef Kozłowski, przemysłowiec z Dąbrowy Górniczej,
10. Włodzimierz Kunowski z Warszawy,
11. Michał Łempicki, inżynier-przemysłowiec,
12. Antoni Łuniewski, prezes Związku Ziemian Królestwa Polskiego,
13. Andrzej Maj, włościanin z Lubelskiego,
14. Józef Mikułowski-Pomorski, dyrektor wyższych kursów rolniczych w Warszawie,
15. Kazimierz Natanson, finansista,
16. Wacław Niemojowski, ziemianin z Kaliskiego,
17. Józef Piłsudski, pozasłużbowy brygadyer Legionów polskich,
18. Ks. prałat Przeździecki z Łodzi,
19. Franciszek książę Radziwiłł, komendant milicyi warszawskiej,
20. Wojciech hrabia Rostworowski, ziemianin-literat,
21. Artur Śliwiński, publicysta,
22. Stanisław Sokołowski, ziemianin z Piotrkowskiego, sędzia gminny,
23. Błażej Stolarski, włościanin z Brzezińskiego,
24. Władysław Studnicki, publicysta,
25. Ks. Bolesław Sztobryń, proboszcz w Wierzbniku.

W charakterze przedstawicieli austro-węgierskiego zarządu wojskowego przy Radzie Stanu funkcyonować będą z stałą siedzibą w Warszawie: jako komisarz rządowy c. i k. tajny radca Jan baron Konopka i jako jego zastępcy: 1) radca ministeryalny dr. Ignacy Rosner, 2) starosta dr. Stefan Iszkowski.

Ameryka wobec Państwa Polskiego.

Jak donoszą z Warszawy, tamtejszy konsul Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, p. De Soto, zaprosił wszystkich konsulów państw neutralnych, przebywających w Warszawie i oświadczył im, że z polecenia swego rządu nie może do końca wojny uznać oficyalnie Państwa Polskiego, niemniej w sprawach rzeczowo-politycznych traktować będzie rząd polski, względnie Radę Stanu, na równi z innymi rządami państw europejskich.

Sprawa pokoju.

Pomimo nieprzychylnej odpowiedzi koalicyi na notę państw centralnych sprawa pokoju nie zeszła bynajmniej z porządku dziennego. Pokój stał się głównym przedmiotem roztrząsań prasy i kół politycznych zarówno po obu stronach frontu, jak i w państwach neutralnych. Nie pozostała też bez odpowiedzi nota koalicyi, odrzucająca propozycye pokojowe. Austryacki minister spraw zagranicznych, hr. Czernin, wystosował do przedstawicieli Stanów Zjednoczonych i europejskich mocarstw neutralnych notę, w której przedstawił zapatrywanie rządu austro-węgierskiego na sytuacyę, wytworzoną przez odmowną odpowiedź koalicyi. Nota ta pomiędzy innemi oświadcza:

„Rządy nieprzyjacielskie pod pozorem, że propozycya czterech sprzymierzonych mocarsw jest nieszczerą i nic nie znaczącą, odrzucają aprobowanie tej propozycyi. Formą, w której to oświadczenie uczyniły, uniemożliwiają one wystosowanie do nich odpowiedzi wprost. C. i k. rząd przywiązuje jednakże wagę do tego, by rządom mocarstw neutralnych wyłuszczyć swoje zapatrywanie.

Odpowiedź rządów nieprzyjacielskich omija rozważenie możliwości ukończenia wojny i ogranicza się do ponownego omawiania zaiść, które doprowadziły do wojny, do omawiania rzekomej siły ich sytuacyi wojennej i rzekomych pobudek propozycyi pokojowej.

C. i k. rząd nie chce tym razem wdawać się w ponowną wymianę słów o historyi, poprzedzającej wojnę. Według jego zapatrywania, przed oczyma całej uczciwie i objektywnie myślącej ludzkości wykazał on już dostatecznie i bezspornie, po której stronie leżała wina wybuchu wojny."

Stwierdziwszy następnie, że monarchia austro-węgierska dała „dostateczne dowody swej cierpliwości wobec coraz bardziej wzmagających się nieprzyjaznych i zaczepnych zamiarów i machinacyi Serbii" i zaznaczywszy, że „rozprawianie o tem, po której stronie sytuacya wojskowa jest silniejsza, wydaje się zbytecznem", nota dalej powiada:

„Gdy Austro Węgry i ich sprzymierzeńcy wojnę tę podjęły od początku nie w celu zdobyczy terytoryalnych, lecz jako walkę obronną, sprawa ta dla państw nieprzyjacielskich przedstawia się wprost odmiennie. By tylko wyliczyć niektóre ich cele wojenne, dążą one do zdruzgotania i obrabowania monarchii austro-węgierskiej, do zdobycia Alzacyi i Lotaryngii, jakoteż do rozdziału Turcyi i zmniejszenia Bułgaryi.

Cztery sprzymierzone mocarstwa mogą już obecnie uważać, że swoje czysto obronne cele wojskowe osiągnęły, natomiast przeciwnicy coraz bardziej oddalają się od urzeczywistnienia swoich planów.

Jeżeli w końcu rządy nieprzyjacielskie nazwały propozycyę czterech mocarstw sprzymierzonych manewrem wojennym i charakteryzują ją jako nieszczerą i nic nie znaczącą, to przed rozpoczęciem rokowań pokojowych, jak długo nasze warunki pokojowe nie są znane, jest to tylko całkiem samowolne twierdzenie, twierdzenie subjektywne, bez możności dowodu."

Nota kończy się następującem oświadczeniem. „C. i k. rząd stwierdza, że on i rządy sprzymierzonych z nim mocarstw oświadczyły gotowość zakończenia wojny przez ustną wymianę zdań z rządami nieprzyjacielskimi i że wyłącznie od decyzyi przeciwników zawisło. czy pokój ma być nawiązany, czy nie. W obliczu Boga i ludzkości odrzuca on wszelką odpowiedzialność za dalszy ciąg wojny.

Austro Węgry i sprzymierzone z niemi mocarstwa prowadzić będą jednak walkę dalej, czerpiąc nadzieję i otuchę w swojem dobrem prawie, aż wywalczony będzie pokój, który poręczy ich własnym ludom byt, honor i wolność rozwoju i umożliwi wszystkim państwom europejskim w pełnem równouprawnieniu wspólną pracę nad rozwiązaniem wielkich zadań kulturalnych."

Odpowiedź koalicyi na notę Wilsona jest tak samo nieprzejednaną, jak i odpowiedź na notę pokojową państw centralnych. Po dłuższym wstępie, udowadniającym, że koalicya walczy „nie o samolubne interesy, lecz o ochronę niezawisłości(!) ludów, prawa i ludzkości", nota dalej oświadcza:

„Obecnie jest pewnym historyczny fakt, a to wola zaatakowania ze strony Niemiec i Austro-Węgier, celem zabezpieczenia swej przewagi w Europie i gospodarczego panowania nad światem. Niemcy okazały przez wypowiedzenie wojny i natychmiastowe naruszenie niezawisłości Belgii i Luksemburga, jak i przez sposób, jak walkę prowadziły, systematyczną pogardę wobec wszelkich zasad ludzkości i prawa, a im bardziej konflikt się rozwijał, stawało się zachowanie mocarstw centralnych i ich sprzymierzeńców coraz bardziej szyderstwem z ludzkości i cywilizacyi.

Czy potrzeba przypominać okrucieństwa, jakie towarzyszyły wpadnięciu do Belgii i Serbii?

Bezwzględny zarząd obsadzonych krajów, wycięcie setek tysięcy spokojnych Armeńczyków, barbarzyństwa wobec ludności Syryi, ataki Zeppelinów na otwarte miasta, niszczenie parowców pocztowych i okrętów handlowych pod flagą neutralną przez łodzie podwodne, okrutne traktowanie jeńców wojennych, zamordowanie Miss Cavell i kapitana Fryat, zawleczenie ludności cywilnej w niewolnictwo i t. d.; stracenie Parville i szereg zbrodni, których się dopuszczono bez względu na ogólne potępienie — wszystko to tłumaczy prezydentowi Wilsonowi w zupełności protest sprzymierzonych. Sprzymierzeni są zdania, że nota, którą wręczono prezydentowi Wilsonowi jako odpowiedź na notę niemiecką, daje też odpowiedź na postawione przez rząd amerykański pytanie i według własnego zdania tegoż zapewne jest publicznem oświadczeniem co do warunków, pod którymi wojna mogłaby się zakończoną.

Prezydent Wilson pragnie jeszcze więcej, chce, by prowadzący wojnę otwarcie podali do wiadomości cele, jakie stawiają sobie, kontynuując wojnę.

Sprzymierzeni mogą na to żądanie bez trudności odpowiedzieć. Ich cele wojenne są dobrze znane; przedstawiali je wielokrotnie w oświadczeniach swych naczelników i rozmaitych rządów. Cele te zostaną w swych szczegółach wraz z wszystkiemi rekompensatami i usprawiedliwionemi odszkodowaniami za poniesione szkody wyjaśnione dopiero w godzinę rokowań.

Świat cywilizowany wie, że zawierają one wszystko konieczne: W pierwszej linii przywrócenie Belgii, Serbii i Czarnogóry i należne im odszkodowania: opróżnienie obsadzonych obszarów Francyi, Rosyi i Rumunii z słusznemi odszkodowaniami; reorganizacyę Europy; gwarancyę trwałych stosunków, opartych zarówno na zabezpieczeniu narodowości i praw wszystkich małych i wielkich narodów, jak i na terytoryalnych umowach i międzynarodowych uregulowaniach, nadających się do ochrony kraju i jego granic przed bezprawnymi atakami: zwrot prowincyi i obszarów, które przedtem wydarto sprzymierzonym gwałtem lub wbrew woli ich ludności; wyswobodzenie Włochów, Słowian, Rumunów, Czechów i Słowaków z pod obcego panowania; uwolnienie ludności, podległych brutalnej tyranii Turcyi, wyrzucenie państwa osmańskiego z Europy, gdyż jest ono niewątpliwie obcem dla zachodniej cywilizacyi.

Zamiary Jego Mości cesarza Rosyi w sprawie Polski są jasne(!!) i zostały podane w proklamacyi, wystosowanej przez niego do swej armii.

Sprzymierzeni chcą wyrwać Europę z pod brutalnej żądzy pruskiego militaryzmu, ale, jak się samo przez się rozumie — nie było nigdy ich zamiarem, jak to podawano, dążenie do zniszczenia niemieckich ludów i do ich politycznego zniknięcia. One pragną przedewszystkiem zabezpieczenia pokoju na podstawie wolności i sprawiedliwości(!) przy nienaruszonej wierności dla międzynarodowych zobowiązań, czem rząd Stanów Zjednoczonych zawsze był owiany.

Sprzymierzeni, zjednoczeni w dążeniu do tego wysokiego celu, każdy poszczególny, jak i wszyscy razem — są zdecydowani działać całą siłą i ponieść wszelkie ofiary, aby spór doprowadzić do zwycięskiego końca, od czego, ich zdaniem, jest zależne nie tylko ich własne szczęście i pomyślność, ale także przyszłość cywilizacyi."

Na widowni politycznej.

Znowu zmiany w gabinecie rosyjskim. Ciągłe klęski, jakie ponosi Rosya w obecnej wojnie, musiały naturalnie wywołać najrozmaitsze przesilenia i wewnątrz państwa, których objawem są niewątpliwie ciągłe awantury w Dumie i zmiany na kierujących stanowiskach. Obecnie urzędowa ajencya petersburska przynosi wiadomość o nowem przesileniu ministeryalnem w Rosyi. Mianowicie prezydent ministrów i minister komunikacyi, Trepow, oraz minister oświaty, hr. Ignatiew, otrzymali dymisyę. Ich miejsca zajęli: senator, członek Rady państwa, ks. Golicyn (prezydent ministrów) i senator Kulczycki (kierownictwo ministerstwa oświaty).

W związku z przesileniem gabinetowem w Rosyi nastąpiło także odroczenie Dumy rosyjskiej i Rady państwa, co wywołało w całem państwie ogromne wrażenie. Fakt ten bowiem był zupełną niespodzianką. Gdy socyaliści w sposób stanowczy zaprotestowali przeciw sprecyzowanym przez Trepowa wojennym celom Rosyi, którymi są: zdobycie Konstantynopola i Dardanelów, ukazał się w nocy ukaz carski, odraczający zupełnie nieoczekiwanie Dumę i Radę państwa.

Świadczy to wymownie, że Rosya na progu nowego roku jest w zupełnem rozprzężeniu i niepewności we wszystkich dziedzinach życia politycznego i gospodarczego. Gdy na froncie wojska mocarstw centralnych posuwają się z całą siłą — wewnątrz państwa zapanowała zupełna dezorganizacya.

Kronika tygodniowa.

Jak dla kronikarza tak światowego pisma, jak *Nowości illustrowane,* przystało, mam też wyrobione należycie stosunki pomiędzy najwybitniejszemi osobami, wysoko, a nawet jeszcze wyżej postawionemi. Wystarczy, jeżeli powiem, że znam się nawet osobiście z trębaczem z wieży Maryackiej i nieraz już o polityce z nim rozmawiałem, jest to bowiem człowiek, mający bardzo szerokie horyzonty i wyrobiony światopogląd, a z głosem jego... (trąbki... przyp. zecera) liczy się każdy, zwłaszcza zaś stróże, zamykający teraz bramy już o dziewiątej godzinie. Oni na wojnie wyszli dobrze, nie pragną też tak rychłego jej końca, zwłaszcza, iż spodziewają się, że z czasem będzie się bramy zamykać o siódmej, szóstej i tak dalej, a kto wie, czy nie dojdzie do tego, że się ich wogóle otwierać nie będzie. Wobec tego każdy obywatel lub obywatelka, chcący nos wystawić bodaj na chwilę na świeże powietrze, będą zmuszeni częściej płacić „szperę“, co wpłynie bardzo dodatnio na poprawę stróżowskich stosunków finansowych. Jednem słowem, już poprawiły się dla nich konjunktury i dalej się poprawiają, na co zwracam niniejszem najpokorniej uwagę c. k. Administracyi podatkowej.

Lecz nie o tem chciałem pisać! Chwaląc się swymi stosunkami z owemi wysoko postawionemi osobistościami, miałem na myśli nie strażaka z wieży Maryackiej, ani też swojego stróża lub stróżkę (szelmy, śniegu nie odmiatają!...), ale dwie, naprawdę bardzo wpływowe osobistości ze świata politycznego, u których informowałem się o sytuacyi politycznej, aby potem podzielić się tem z P. T. Czytelnikami, spragnionymi, rzecz prosta, wiadomości pewnych z pierwszej ręki.

Otóż jeden z tych panów (nazwiska nie powiem, bo zaprzysiągłem dyskrecyę, dodam tylko, iż jest „per ty“ z kilku ministrami z tekami i bez tek...) gdym go zapytał, co będzie, odparł z tajemniczą miną:

— Trudno przewidzieć, kochany panie! — i poklepał mnie po ramieniu.

— Ależ przecież? — sondowałem dalej.

— To jest, widzisz pan, ciężka, bardzo nawet ciężka sprawa!

— A czy niema punktu wyjścia?

— Owszem, jest!... Niewiadomo tylko, gdzie go szukać!...

Zaraz mi się rozjaśniło w mózgownicy, zwłaszcza, że widocznie miałem szczęście, gdyż zaraz napotkałem drugiego polityka i, będąc jeszcze pod wrażeniem ważnych wyjaśnień, jakich udzielił mi pierwszy, zagadnąłem obcesowo:

— I cóż, radco dobrodzieju?

— A no, zobaczymy!

— Kiedy?

— Tego nie wiem!

— I radca dobrodziej sądzi, że się da coś zrobić?

— Ho! ho!

Teraz zrozumiałem już sytuacyę, ktora, jak z tego widzą Czytelnicy, nie jest bez wyjścia, nikt tylko nie wie, którędy, jak i kiedy. Skoro zaś nie wiedzą o tem tacy mężowie, dla których polityka jest codziennym chlebem, cóż mamy mówić my, zwykli śmiertelnicy, uprawiający politykę jeno z amatorstwa.

Mnie po tych dwu rozmowach, przyznam się szczerze, otwarły się dopiero oczy, jestem przekonany, że tego samego zdania będą i P. T. Czytelnicy, z którymi się tem zaraz dzielę. Czy jednak informatorzy moi mieli na myśli koniec wojny i pokój, tego nie wiem, mam przecież nadzieję, iż tak było, dziś przecież, kto tylko żyje, o niczem innem nie mówi. Ja, stawiając pytania, myślałem o pokoju, czy oni, odpowiadając na nie, także, o to zapomniałem zapytać.

Z Kazimierza natomiast, który jest bardzo czułym barometrem politycznym, otrzymałem wiadomość, że towary, których ceny spadły, gdy się mówiło o pokoju i nocie Wilsona, poszły znów w górę, ku wielkiej radości różnych spekulantów. Byłby to znak, że kwestya pokojowa została odsunięta na drugi plan, lub, na razie przynajmniej, zupełnie skreśloną z porządku dziennego.

— Interes tego wymaga! — Tak powiadają politycy, którzy przyzwyczaili się identyfikować politykę z interesem i zajmują się nią tylko o tyle, o ile im to korzyść przynosi. A dzieje się tak nie tylko u nas na Kazimierzu, nie tylko w Anglii, ale nawet i w neutralnej Ameryce, gdzie zaczęto spekulować na giełdzie, zanim jeszcze Wilson wysłał do Europy swą notę pokojową. Była z tego powodu mała awantura, ale się na tem skończyło, zwłaszcza, że zajęto się czemś innem, ważniejszem.

Przemówiła oślica Balaama — koalicya odpowiedziała na Wilsonową notę. Dużo potrzebowała na to czasu, wiadomo bowiem, że wielkie rzeczy tworzą się pomału, a każdy ze sprzymierzeńców chciał zabrać głos i wtrącić swoje trzy grosze. Miał słuszność, gdyby bowiem sam nie chodził za swoją sprawą, koledzy zapomnieliby o nim z pewnością. Nad ostateczną redakcyą odpowiedzi zastanawiano się niezawodnie na niedawnym zjeździe w Rzymie. Treść jej zadziwiła nawet neutralnych, koalicya postawiła bowiem takie warunki, iż nikt chyba nie wątpi, iż przyjęte być nie mogą. Choć, jak dotychczas, zwycięstwo jest po naszej stronie, to też my powinniśmy dyktować nasze żądania, w obecnej wojnie obrócono przecież logikę, a z nią i sprawiedliwość do góry nogami i ten, kto wziął i bierze i, daj Boże, dalej brać będzie po skórze, zapowiada, na jakich warunkach byłby zdecydowany do zawarcia pokoju.

W pierwszej więc linii żądają Anglicy i ich przyjacioły zwrotu wszelakich dotychczasowych zdobyczy i zapłacenia poważnego odszkodowania za strach, ból i t. d., pozatem uwzględnienia zasad narodowościowych (ale to dotyczy tylko mocarstw centralnych, koalicyę nic nie obchodzi!...) przy układaniu przyszłej karty Europy, wypędzenia Turków za Bosfor, uznania niezależnego królestwa czeskiego i wielu innych pięknych rzeczy, które muszą pozostać tylko pobożnem życzeniem. Zdaje mi się jednak, że i Anglicy sami nie mają wcale ochoty otwarcia Rosyi cieśniny dardanelskiej, gdyż boją się jej konkurencyi, a wiadomo, że obecna wojna prowadzona jest wyłącznie pod znakiem interesu kupieckiego. Choć koalicya chwali się, że rozpoczęła ją w obronie cywilizacyi i drobnych narodów, ale zapomniała równocześnie dodać, iż tylko pod tym warunkiem, jeśli one dostaną się potem pod angielski obuch. Zarzuca się Niemcom, że dążą do zawładnięcia, jeśli nie całym światem, to w każdym razie bodaj Europą, nie wspomina się zaś o tem, że to przecież jedyne pragnienie Anglików i cel wszelkich ich usiłowań. Gdyby tak wygrana padła na stronę koalicyi, na własnej skórze przekonaliby się Francuzi, Włosi, Moskale i t. d, jak to przyjemnie być przyjacielem i sprzymierzeńcem Anglii.

Zachciewa się więc Anglii najróżnorodniejszych rzeczy, w których spełnienie sama z pewnością nie wierzy i zawiadamia wszech wobec i każdego z osobna, że da się przebłagać tylko pod tym warunkiem, jeśli Niemcy, Austrya i ich sojusznicy przyznają się, że zgrzeszyli, przyjmą nałożoną na nich pokutę, obiecają poprawę i należyte zadośćuczynienie i, naturalnie, dadzą odpowiednią gwarancyę, że przyrzeczeń dotrzymają. Podobno Wilsonowi, gdy czytał warunki pokojowe koalicyi, z podziwienia aż monokl wypadł z oka, nie przypuszczał bowiem, że można mieć tak nienasycony apetyt.

Nawet moja Weronisia, aczkolwiek polityką bardzo mało się zajmuje, zwłaszcza od chwili, gdy zniesiono kawy popołudniowe ze śmietanką i obgadywaniem bliźnich, była wprost oburzona tą angielsko-francuską zachłannością i oświadczyła, że żałuje, iż nie jest mężczyzną, robiącym w polityce, dałaby bowiem koalicyi należytą odpowiedź! Poleciła mi też, bym zabrał głos w tej sprawie i napiętnował postępowanie koalicyi, co też niniejszem czynię.

Wiadomość o odpowiedzi ententy doszła do nas akurat trzynastego stycznia, to jest w sam dzień imienin jej patronki, świętej Weroniki panny. Uroczystość ową obchodzimy zawsze z należytą paradą, przeważnie w zaciszu domowego ogniska, rzadko się zdarza, że weźmie w niej udział i ktoś z grona życzliwych Czytelników, jak to miało właśnie miejsce w tym roku. W przeddzień imienin otrzymała Weronisia wierszowane gratulacye od jakiegoś nieznajomego, który jednak podpisał się niewieściem nazwiskiem. Charakter pisma, które dałem do zbadania grafologowi, był wybitnie męski, treść zaś, buntująca mą lepszą połowę przeciw mnie, była stanowczo niecenzuralna. Pokazałem przecież, że mam w piersi szlachetne serce i doręczyłem jej list w całości, pro sząc jedynie, by mi go zezwoliła umieścić na łamach kroniki. Niestety, nie zgodziła się na to, przynajmniej na razie, życzenia tak jej bowiem przypadły do gustu (przepada za poezyą!), iż uczy się ich na pamięć i żąda, bym i ja potem to samo uczynił, a dowiem się, jakie ona ma wobec mnie prawa, a ja wobec niej obowiązki.

Zbuntował mi więc ów nieznajomy jegomość babinę, ale ja mu przebaczam, gdyż chyba nie wiedział, co czyni, odgrywając rolę owego węża z drzewa świadomości dobrego i złego, który poróżnił naszych pierwszych rodziców i był przyczyną, że ewakuowano ich z raju. Adam wykpił się jakoś sprawieniem swej połowicy listka figowego, moja nie chciała się czemś podobnem zadowolić, ale zażądała nowego kapelusza i żakietu, obiecując pokój domowy tylko pod tym warunkiem.

Ale temu ja się znów sprzeciwiłem, oświadczając całkiem wyraźnie, iż nie ustępuje on w niczem warunkom koalicyi, wobec czego ja, idąc za jej wzorem, przyjąć go nie mogę. Dlatego, że komuś tam spodobało się zachęcić ją do oporu przeciw mnie, jako głowie domu, ja mam płacić jeszcze odszkodowanie?... To się po mnie nie pokaże! Na listek figowy mógłbym się ostatecznie jeszcze zgodzić, ale tego ona znów nie chce.

Małe przyczyny mają nieraz wielkie skutki. Tak było i w tym wypadku. Zwykły list omal nie stał się przyczyną zepsucia małżeńskiej naszej harmonii i może służyć za dowód, że i przysłowia czasem zawodzą. Ktoś tam powiedział: „Gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła“, ja, komentując wyżej przytoczone zajście, dochodzę do przekonania, że babę, jeśli nie ma ona czasu, może z również dobrym skutkiem zastąpić i chłop.

Zajście owo domowe tak mnie jednak obeszło, iż zacząłem się już nosić z myślą samobójczą. Ogromnie nie lubię, jeśli ktoś zaczyna mi nieproszony dmuchać w ognisko rodzinne i to do tego z niewłaściwej strony...

Ba!... Ale dziś łatwo powziąć postanowienie popełnienia samobójstwa, trudniej je zaś wykonać. Strzelającego przyrządu nie posiadam żadnego, musiałem je oddać w policyi przed wybuchem wojny, trucizny w aptece bez recepty nie wydadzą, wieszać się nie myślę, gdyż na papierowym szpagacie się nie utrzymam, postanowiłem więc rzucić się w nurty Wisły. Niestety, staje i temu na przeszkodzie zakaz kąpania się, wydany przez magistrat, a dotąd nie odwołany i obawa, że mógłbym się łatwo zaziębić.

— Nie! — powiedziałem sobie. — Śmierć znajdę gdzieindziej!... i poszedłem się sankować na plantacye, spadło bowiem tyle śniegu, iż wystarczy go dla wszystkich. Jeden z pomysłowych kupców, który handlując wszystkiem, bo kamienicami, szkłem, mydłem i t. d., wychodzi na tem doskonale, wszystko bowiem idzie mu „jak po mydle“, postanowił założyć Towarzystwo akcyjne, mające za zadanie zbieranie śniegu, suszenie go i sprzedawanie potem zamiast soli. Wyjdzie na tem dobrze i gmina, zadarmo pozbywając się śniegu i akcyonaryusze. Zgłoszenia przyjmuje się każdej chwili.

Ale widocznie nie było postanowionem, bym opuścił ten padół płaczu i kart chlebowych i wykreślony został z listy obywateli, mających prawo pozostania w twierdzy. Zaledwo ulokowałem swoją peryferyę na pożyczonych sankach, krzyknąłem „wio!“ i puściłem trochę pary, by zjechać z góry na dół, patrzę, idzie stróż porządku publicznego, ozdobiony dawniej półksiężycem, dziś blaszaną elipsą. Wiedząc, że na plantach saneczkować się nie wolno, ja w nogi, on za mną. Pokazało się, że ja mam lepszy charakter w nogach, wyprzedziłem go też z łatwością o kilkadziesiąt długości i zniknąłem w bramie domu, a potem za drzwiami mieszkania. Tu, pod opieką Weronisi, niczego się już nie boję.

Samobójstwa więc nie popełniłem, obiad natomiast, choć był przypalony, zjadłem z apetytem. Dobrze mi zrobił ruch na świeżem powietrzu, mogę też tą metodę polecić P. T. Czytelnikom, na złość wszystkim lekarzom i aptekarzom, którzy są tego zdania, iż tylko oni mogą zaradzić, jeśli komu co dolega. Ale tak nie jest, często ratunek przychodzi sam ze siebie.

Gdym tak zmykał ze saneczkami pod pachą, a półksiężyc mnie gonił, przypomniał mi się mimowoli ów lunatyk z „*Nowej Reformy*“, który po dachach dążył do księżyca, lecz nie mógł nań znaleźć drogi. Wędrówce w stronę księżyca poświęcono sążnisty artykuł, ucieczka przed półksiężycem zasługuje bodaj na kilka słów wzmianki.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka rachunkowa.

Ułożył A. J. „Tonek“, Kraków.

Poniżej zamieszczone cyfry w ten sposób poprzestawiać, aby szeregi pionowe i poziome, oraz wzdłuż obu przekątni, dały sumę 15.

1	2	3
4	5	6
7	8	9

Szarada.

Ułożył Iii Ey., Kraków.

Pierwsze, drugie a także i trzecie,
Imię męskie, zatem już wiecie;
Czwarte wspak zaimkiem jest snadnie,
Z łatwością więc każdy odgadnie;
Piąte, to wieszcz w naszym narodzie,
A *całość*, miasto na Wschodzie.

Łamigłówka literacka.

Ułożył A. Inwalida, Gross Ullersdorf.

Początkowe litery dzieł wymienionych pisarzy, czytane z góry na dół, utworzą imię, przydomek i nazwisko znanego polskiego poety i powieściopisarza.

Zapolska?
Zbierzchowski?
Żuławski?
Perzyński?
Wierzbiński?
Orzeszkowa?
Srokowski?
Rodziewiczówna?
Przybyszewski?
Słoński?
Reymont?
Zacharyasiewicz?
Weysenhoff?
Przyborowski?
Żeromski?
Tetmajer?
Sienkiewicz?
Prus?
Jeleńska?
Szymański?
Makuszyński?
Żmijewska?
Miriam?
Ostrowski?

Zadanie do przestawienia.

Ułożył H. Przepolski, Krakow.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Mleka! Wyki! Bij Linn!

Okienko.

Ułożył A. J. „Tonek“, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a	a	a	a
a			a			a
a			a			b
b	b	b	d	d	g	g
g			g			n
n			o			r
r	r	r	r	r	u	u

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Rumunii. 2. Miasto w Szwajcaryi. 3. Miasto we Włoszech.

Rozsypane litery.

Ułożył B. Gurmasek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, b, ć, d, d, ę, i, j, k, n, n, o, o, o, o, p, p, s, ś, y.

Trójkąt magiczny.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko i imię polskiej autorki i działaczki narodowej.

□
□ —
□ — —
□ — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Wykrzyknik. 3. Rodzaj poezyi. 4. Pieśń na dwa głosy. 5. Imię żeńskie. 6. Rodzaj łódki. 7. Kraj w Afryce 8 Nauka o głosie. 9. Miasto w Bawaryi. 10 Ubezpieczenie. 11. Odnowienie. 12. Imię i nazwisko węgierskiego powieściopisarza (odwrotnie). 13. Dostojnik wschodniego kościoła.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, ą, e, e, e, g, i, l, n, n, r, s, t, t, w, w, z.

Bilety wizytowe.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ROMAN SIRZAPSO.

S. TYRAKY.

T. SZONOLIS.

S. FREZO.

H. TYROSKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 1.

Zadanie do przestawienia: Kto na przedpieklu mieszka, dyabła w kumotry prosi.

Trójkąt magiczny:

A	n	h	a	l	t
N	e	l	l	y	
H	a	g	a		
A	l	t			
L	i				
T					

Zadanie do przestawienia: U wdowy chleb gotowy.

Okienko:

K	r	a	w	i	e	c
r			i			e
a			e			b
w	i	e	c	z	ó	r
i			z			z
e			ó			y
c	e	b	r	z	y	k

Zadanie do przestawienia: Nie wierz gębie, połóż na zębie.

Kwadrat magiczny: Kopernik.

Zadanie do przestawienia: Mała mysz, a ma też

Grzebieniówka:

F	**i**	**d**	**i**	**a**	**s**	**i**	**P**	**o**	**l**	**i**	**k**	**l**	**e**	**t**
a		a		b		l		d		m		h		e
j		n		a		i		w		p		a		m
a		t		ż		a		a		u		s		i
n		o		u		d		c		l		s		d
s		n		r		a		h		s		a		a

Zadanie do przestawienia: Niema ognia bez dymu.

Zadanie do przestawienia: Psie głosy nie idą w niebiosy.

Bilety wizytowe: Komedyopisarz. Dyrektor banku. Posługacz kolejowy. Kominiarz. Miodosytnik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: **D. Sedyńska Kraków, M Sokołowska Kraków. S Karwowski Gniezno. H Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów M Golska Wiedeń, M. Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R Wójcik Przemyśl, Z Małecki Lwów, S Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl, Z Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów, E. Winter Tarnów, J Sosenko Kraków, W Sosenko Podgórze.**

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **R. Topolnicki Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Nadzwyczajne walne zgromadzenie krakowskiego Koła Ligi Kobiet N. K. N. odbędzie się w sobotę 20 stycznia o godzinie piątej popołudniu w sali konferencyjnej N. K. N., ulica Gołębia 20. Przedmiotem obrad zgromadzenia będzie wybór delegatek na zjazd naczelnego zarządu Ligi Kobiet, który się odbędzie dnia 1. i 2. lutego b. r. celem wypracowania projektu dalszej działalności Ligi, zalegalizowanej jako stowarzyszenie w zmienionych warunkach.

Do Kobiet polskich!

Pośród ziem, dotkniętych bezpośrednio zawieruchą wojenną, Polska należy do tych, które poniosły największe ofiary i doznały najcięższych doświadczeń. Ale równocześnie wykazała Polska niesłychany zasób sił żywotnych i niezwykłe zdolności do odrodzenia, które dozwoliły jej nietylko przetrwać najdotkliwsze ciosy, ale dźwignąć się nadto do pracy nad zagojeniem ran i budową zrębu pod wolność i niepodległość.

W tej pracy gorącej i odrodzeniowej walny udział przypadł kobiecie polskiej, która zastąpić musiała na niejednem polu powołanego pod broń męża, brata, syna i ojca.

Kobieta polska zrozumiała, że pragnąc powitać swoich najdroższych w wolnej Polsce, musi podjąć pracę ciężką i żmudną jeszcze wśród krwawej pożogi wojennej. Musi nieść pomoc ofiarom krwawej wojny, koić cierpienia rannych, łagodzić niedolę tułaczą ludu polskiego, a przedewszystkiem nieść pomoc tym żołnierzom, którzy o tę wolność Polski szli w bój. Zrozumiała, że w tej jej pracy pomocniczej dojrzewają wielkie cele wskrzeszenia Ojczyzny. Więc bez różnicy stanu i przekonań rzuciła się kobieta polska do pracy, a oddając się jej z całą ofiarnością — przyniosła niespożyte korzyści przesiąkłej krwią ziemi polskiej i zniszczonemu wojną ludowi polskiemu, otaczając opieką swą wszystko i wszystkich, gdzie tylko opieka ta była potrzebną

Przyznać trzeba, że wydatność tej pracy, śmiałość pomysłów, wytrwałość i siła w wykonaniu podjętych zadań wykazały, że kobieta polska umie ocenić doniosłość chwili dziejowej, umie stanąć na wysokości swego zadania. Zrozumiały pozatem Polki, że w tej ich pracy pomocniczej dojrzewają wielkie cele wskrzeszenia Ojczyzny.

Przyszła też historya losów Narodu w dobie wojny światowej nie byłaby pełną, gdyby nie uwzględniła czynów i pracy kobiety polskiej.

W tej myśli zwracamy się do Was kobiety polskie, oddające się pracy społecznej i narodowej, kulturalnej i humanitarnej, z prośbą o dostarczenie materyału, któryby pozwolił stworzyć obraz całokształtu pracy Waszej.

Niechaj pomoc niesiona walczącym i rannym, pomoc rodakom, pozostającym w krajach okupowanych, lub wiodącym życie tułacze na obczyźnie, pomoc niesiona internowanym, dzieciom bezdomnym, sierotom i rodzicom poległych, w dalszym ciągu współpraca około odbudowy kraju, prace teoretyczne, naukowe, jakoteż prace polityczne, ideowe, organizacyjne i agitacyjne, dokonywane przez kobiety nasze — niechaj wszystkie te prace znajdą miejsce w historyi współczesnej wojny, która dla sprawy polskiej ma tak wielkie, tak doniosłe znaczenie.

Chodzi tu nie tylko o suchy materyał liczbowych wykazów, ale też o historyę, warunki, trudy i ułatwienia, wśród jakich dane instytucye powstały i rozwijały się.

Obok tego zaś prosimy o cyfrowe wykazy ilości i jakości pracy — wykazy uczestniczek i ich fotografie.

Zwracamy się w pierwszym rzędzie do inicyatorek, przewodniczących i kierowniczek danych instytucyi, ich oddziałów, sekcyi i t. p., w dalszym ciągu do organizatorek grup pomocniczych dla prac ideowych, zmierzających do ziszczenia ideałów narodowych, tudzież do poszczególnych jednostek, które samoistnie podjęły jakiś kierunek lub dział pracy w powyższem znaczeniu, z prośbą o nadsyłanie sprawozdań drukowanych i rękopiśmiennych, wydanych odezw i druków, oraz materyałów, wyświetlających ich działalność.

Materyały w powyższem znaczeniu należy nadsyłać do Zarządu Polskiego Archiwum Wojennego, Kraków, gmach Akademii Umiejętności, ul Sławkowska 17, albo do Komitetu Polskiego Archiwum Wojennego we Lwowie, (Lelewela 5). Można je też składać na ręce poszczególnych delegatów, którzy z ramienia P. A. W. współpracują w różnych miejscowościach na ziemiach polskich oraz zagranicą, a których adresy wskaże na żądanie Zarząd. Archiwum wojenne otworzy w tym celu osobny oficyalny dział dla mających się nadsyłać dokumentów, które posłużą do wydania dzieła o działalności kobiety polskiej w czasie wojny. Utworzony później komitet redakcyjny, w skład którego wejdą reprezentantki wszelkich kierunków i działów pracy kobiecej w czasie wojennym, zajmie się wydawnictwem i zadecyduje o formie i treści przyszłego dzieła, które odpowiednio zasilone i poparte przez całe społeczeństwo, będzie stanowić trwały pomnik pracy odrodzeniowej Polski

Za Zarząd Polskiego Archiwum Wojennego:

Prof. dr. Wład. Semkowicz
przewodniczący.

Dr. Jan Bystroń
sekretarz.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego